Nr. 25. Poznań, Niedziela 23. czerwca 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

Czas odnowić przedpłatę!

„Przegląd Poznański“ kosztuje kwartalnie na wszystkich pocztach cesarstwa niemieckiego i Austryi

3,75 mr.

w mieście Poznaniu, w ekspedycyi naszej, wraz z odnoszeniem do domu

3 mr.

we wszystkich innych krajach z przesyłką opaskową

4,00 mr.

„Przegląd Pozn.“ zapisany jest w księgach pocztowych Niemiec i Austryi pod lit. II. t. 86 a.

Wszyscy nowi abonenci otrzymają bezpłatnie początek powieści: „ENGELKE“.

TRESC.

Do czytelników.

Na progu nowego kwartału zwracamy się do czytelników naszych z usilną prośbą o rozszerzanie pisma naszego w kole bliższych i dalszych znajomych. „Przegląd Poznański“ jest jedynym tygodnikiem polityczno-literackim w całym zaborze pruskim, a najwybitniejsze organa warszawskie i galicyjskie, oraz najpoważniejsi pisarze polscy wystawili mu niejednokrotnie zaszczytne świadectwo, witając w nim strumień życia nowego na wyjałowionej umysłowo glebie. Echa jednak nie było w zaborze pruskim; własne społeczeństwo pod wodzą naczelnych organów swoich powitało zrazu niechętnem milczeniem „nowych ludzi“, a gdy wierni programowi rozpoczęliśmy pracę budzenia i objektywnej krytyki w dziedzinie polityczno-społecznego życia, wszczęła się otwarta i zakulisowa walka przeciw tym, którzy iść nie chcieli pod komendą gerontów, rozkochanych w skamieniałym konserwatyźmie i szerzących kult dyletantyzmu, obłudy i hyperlojalnych umizgów w społeczeństwie polskiem. Prąd klerykalno-ugodowy, przenikający wszystkie pory życia naszego, zwrócił się przeciw nam z słowem nienawiści i kamieniem potępienia, a w pierwszych szeregach stanęli ludzie, których koteryjny interes lub systematycznie hodowana bezkrytyczność wyniosły do wyżyny powag. Lękano się promieni trzeźwej krytyki, w obec której niejedno bożyszcze zstąpić musiało z sztucznego piedestału, i niejedna dekoracya naszych instytucyi i społecznych działań, wzniesiona w osobistym interesie jednostek lub w interesie źle zrozumianego patryotyzmu, w proch się potoczyła. Walczono z nami nietylko w imię idei reakcyjnej, w imię haseł ultra-zachowawczych, lecz walczono przedewszystkiem w imię sztucznie wykarmionej obłudy społecznej, w imię fałszywych blasków, schlebiających ambicyi całego legionu naszych „starszych braci“.

Przeciwników nie przerażał tyle umiarkowany liberalizm i narodowo-demokratyczny kierunek „Przeglądu“, ile raczej szczerość i uczciwość krytyki naszej w domowych sprawach, ile protest przeciw królestwu miernoty, przeciw koteryjnym liściom figowym, przeciw bractwom wzajemnym adoracyi, przeciw wysuwaniu względów osobistych przed sprawę publiczną, przeciw zamilczaniu najżywotniejszych, choć może drażliwych kwestyi, w ton nadających organach prasy poznańskiej.

Najpotężniejszym jednak wrogiem stronnictwa Przeglądowego jest ta dziwna, ta przerażająca apatya społeczeństwa, które poza ciasnym obrębem aktualnej polityki prowincyonalnej i poza granicami poszczególnych zawodów nie szuka pokarmu dla umysłów swoich. Szerszego życia myśli ludzkiej, ogarniającej prądy społeczne, filozoficzne i artystyczne nowoczesnej cywilizacyi, badającej drogi, po których kroczy duch ludzki, pracującej nad wydoskonaleniem i rozszerzeniem własnych pojęć życiowych, szukamy napróżno w kresowych dzielnicach; — błyska ono gdzieniegdzie, ale ogół inteligencyi pozostał mu obcym i dla tego literacko-naukowa działalność pisma naszego budzi więcej zainteresowania poza rogatkami zaboru pruskiego, niż w najbliższej ojczyźnie naszej. A przecież zgromadziliśmy około „Przeglądu“ najwybitniejsze umysły literatury polskiej, — a przecież pióra Asnyka, Bartoszewicza, Jellenty, Kasprowicza, Rodziewiczówny, Żeromskiego i t. d. składają owoce myśli i talentu w łamach pisma naszego, — a przecież staramy się być zwierciadłem wszystkich prądów życia europejskiego!

Zaliczeni przez bezstronną krytykę do poważniejszych i szersze zakresy obejmujących tygodników polskich, stajemy dzisiaj przed społeczeństwem naszem nie z żadaniem jałmużny, lecz z żądaniem poparcia w imię wspólnych interesów humanitarnych i narodowych.

Nadchodzący kwartał, noszący piętno fatalnej „*saison morte*“ na czole, zatrważa zwykle czytelników pism peryodycznych, szukających w prasie napróżno żywszego ruchu i życia. Dzięki jednak rozszerzeniu stosunków literackich będziemy w stanie nawet w „martwym sezonie“ szeregiem ciekawych artykułów, powieści i feljetonów zainteresować abonentów naszych; barwne obrazki z życia poznańskiego, ciekawe korespondencye z wielkich centr europejskich, utwory beletrystyczne pierwszorzędnych pisarzy i krytyczne przeglądy prądów politycznych zapełnią łamy pisma naszego. Poznań, witający galicyjskich i kongresowych gości na wystawie swojej, stanie się niebawem ogniskiem wyjątkowego ruchu, a w oczekiwaniach tego pulsującego życia ukazują się dzisiaj już za kurtynami polityki naszej dziwne zakusy w imię haseł chorobliwego lojalizmu. Sezon wystawowy zapowiada mnóstwo interesujących motywów, z których wysnujemy szereg ciekawych illustracyi stosunków poznańskich.

Zapraszamy zatem usilnie do przedpłaty i wzywamy raz jeszcze wszystkich przyjaciół, aby w imię tych wspólnych idei, które nas złączyły i powołały do życia pismo nasze, rozwinęli gorliwą agitacyą za rozszerzaniem „Przeglądu“. Nie dość kochać platonicznie swój sztandar, — nam trzeba w imię tego sztandaru pracować. Nie dość czcić ideały swoje, — nam trzeba hufce prozelitów wieść do świątyni tych ideałów. Przeciwnicy nasi odznaczają się fanatyzmem nienawiści,— my rozwińmy pewien fanatyzm miłości dla chorągwi naszej, jednajmy jej nowych szermierzy i nieśmy od domu do domu wytrwale i odważnie ideę naszą. W tym celu prosimy przyjaciół „Przeglądu“, aby zechcieli zamawiać *bezpłatne egzemplarze okazowe* i rozrzucać je w gronie znajomych swoich. W obec fałszów, rozsiewanych o piśmie naszem przez heroldów reakcyi, jest to najskuteczniejszy środek obrony. Przekonaliśmy się bowiem niejednokrotnie, że dokładne poznanie treści i kierunku „Przeglądu Poznańskiego“ rozwiało niechęci, wyrosłe na gruncie tendencyjnych insynuacyi i ubliżających pogłosek. A zatem raz jeszcze prosimy: *Niechaj czytelnicy nasi raczą nam donieść, ile egzemplarzy okazowych bezpłatnie im nadesłać, niechaj rozwiną jak najgorliwszą agitacyą za pismem naszem, niechaj bronią odważnie sztandaru, któremu służą.*

REDAKCYA.

POLITYKA.

Z najnowszych dziejów Szląska,

napisał

Szlązak.

III.

Jak już zapowiedziałem w przeszłym artykule, wspomnę, zanim przejdę do szczegółowego rozbioru wypadków z r. 1893, pokrótce o różnych epizodach walki ojców naszych z niemczyzną, ponieważ ogólne panuje mniemanie, że wypadki owe były pierwszą próbą ze strony ludu szląskiego ku ocaleniu polskości od zagłady. Przyczyni się to też w części do lepszego zrozumienia sytuacyi dzisiejszej.

Otóż pierwszym objawem oporu ludności polskiej przeciwko cisnącej się ze wszech stron zwłaszcza na Szlązk dolny niemczyznie, była walka dwóch Piastów, dwóch braci rodzonych: Henryka II., księcia wrocławskiego z młodszym bratem Konradem.

Henryk II. otoczył się Niemcami i sprowadzał ich coraz więcej do Księstwa swego, darząc przywilejami i ziemią; — około Konrada skupiła się pokrzywdzona w swych prawach ludność tubylcza. Ale na zawołanie księcia Henryka rycerstwo niemieckie tak licznie posypało się do szeregu jego, że Konrad uledz musiał przemocy.

Niedługo po tej pierwszej nieudanej próbie podjął walkę z Niemczyzną Tomasz II., biskup wrocławski, i toczył ją wytrwale przez długie lata, chociaż nawet własne jego niemieckie duchowieństwo wyłamało się z pod jego władzy i popierało otwarcie wyklętego za różne gwałty stronnika Niemców Henryka Probusa.

Ale i Biskup Tomasz nie zdołał powstrzymać zalewu i zeszedł do grobu ze sercem złamanem widokiem niedoli ludu swego. Następcy jego z małemi wyjątkami byli więcej otwartymi a nieraz strasznie zaciętymi wrogami polskości. Najdalej posunął się w swej nienawiści do wszystkiego, co polskie, Jan, biskup wrocławski, panujący pod koniec XV wieku. On to gwałtem wydzierał polskiemu ludowi co lepsze ziemie i rozdawał je Niemcom, a grabież swą uzasadniał twierdzeniem, „że polski chłop nie jest zdolny do pilnej uprawy roli“. Tenże Biskup w r. 1495 rozkazał chłopom polskim we wsi Wojciec pod Grotkowem, aby w przeciągu lat pięciu nauczyli się po niemiecku, bo w przeciwnym razie wypędzeni zostaną ze wsi. A jak wielką już wtedy pogardę okazywali Niemcy koloniści tubylcom, dowodzi najlepiej fakt następujący: Gdy Opat Augustynianów wrocławskich, Maciej, zmarły w r. 1429, obsadził chłopami polskiemi folwark klasztorny pod Tyńczą, w pobliżu miasta, Niemcy nie nazywali wsi tej inaczej jak wsią „głupich Maćków“.

Przytaczam drobny ten na pozór epizodzik z dziejów naszych dla tego, aby pokazać, ile to upokorzeń biedny lud nasz już przed tylu wiekami znosić musiał ze strony napływowej ludności niemieckiej.

I na Górnym Szląsku, jakkolwiek tu nacisk niemczyzny był mniej silny, nie brakło starć między polską i niemiecką ludnością. Już w wieku XIV przyszło w raciborskim kościele Dominikanów między Niemcami a Polakami do walki krwawej, wskutek której kościół rzeczony trzeba było poświęcić na nowo, a najlepszym chyba dowodem, że i nasi Ojcowie bronili się energicznie przeciwko niemczyznie jest znany zapewne ogólnie spór o kaplicę polską w Raciborzu w wieku siedemnastym.

Niestety lud sam, opuszczony przez swą szlachtę, nie mógł się wybić z pod gniotącej go przewagi i wszelkie próby odnośne kończyły się niepomyślnie, i gorszy tylko ucisk pociągały ze sobą.

Dopiero od roku 1841 — od chwili zaanektowanie Szląska przez Fryderyka II. ustały nawet i próby takie, bo żelazna ręka biurokracyi pruskiej ciążyła stokroć silniej nad Szląskiem niż rządy Habsburgów. I przez blizko sto lat głucha cisza zaległa dzielnice nasze. W ciągu tych stu lat zniemczył się do reszty Szląsk dolny i z Księstw środkowo szląskich wyparto żywioł polski prawie zupełnie. Już i Górnemu Szląskowi groził zalew, — gdy w roku 1848 zajaśniała po raz pierwszy jutrzenka lepszej przyszłości. Ks. Bogedajn zaczął wydawać pismo polskie, a chociaż to wkrótce upadło, to pierwsze ziarno było rzucone i padło na urodzajną rolę. Co się nie powiodło ks. Bogedajnowi, powiodło się Karolowi Miarce. Założony przez niego „Katolik“ znalazł od razu szersze koło czytelników, potem zawrzała walka kulturna i dokazała reszty.

Trudna rada, już co się tyczy Górnego Szląska uważać trzeba ks. Bismarcka za dobroczyńcą polskości, bo gdyby nie wywołana przez niego walka kulturna, Bóg wie, jakby dziś u nas wyglądało. Od czasu bowiem, gdy dawniejszą część dyecezyi krakowskiej przyłączono do Wrocławia i gdy duchowieństwo górnoszląskie w Wrocławiu kształcić się musiało, zaczęło się też na dobre germanizować. Duchowieństwo to przejęte było względem rządu ślepą uległością i w tym też duchu wychowywało swe owieczki. Jeszcze przed dwudziestu kilku laty przeciętny Górnoszlązak polski uważałby był opozycyą przeciwko zamiarom i woli rządu, ba! przeciwko najniższemu z najniższych urzędników za bunt przeciwko Bogu. Sławiona przez wielu lojalność ludu szląskiego była niczem innem jak niewolniczą służalczością, po za którą ukrywał starannie gorycz pewną z swego poniżenia wypływającą. Wszystko to walka kulturna od razu zmieniła. Ci, którzy lud w tej służalczości utrwalali, pierwsi teraz, zagrożeni w swej egzystencyi, dali hasło do oporu i poprowadzili sami lud do walki przeciw rządowi.

Aż do roku 1873 wybierano na posłów tak do sejmu jak i do nowego parlamentu niemieckiego w okręgach wyborczych Górnego Szląska przeważnie kandydatów rządowych lub umiarkowanie liberalnych, mianowicie magnatów górnoszląskich. W Raciborskim okręgu dzierżył naprzykład stale mandat do parlamentu Książe raciborski, przyjaciel osobisty cesarza Wilhelma, marszałek izby Panów. Była to osobistość na Górnym Szląsku bardzo popularna i pod każdym względem wybitna, — dla tego poświęcimy jej tu słów kilka. Księstwo raciborskie jest własnością książąt Hohenlohe Corvey, w których posiadanie dostało się przez spadek w początkach bieżącego wieku. Objął je około r. 1840 z tytułem „herzoga“ raciborskiego najstarszy z trzech braci, którzy wszyscy zdobyli sobie wysokie stanowiska. Drugi z tych braci jest bowiem dziś kanclerzem rzeszy niemieckiej, a trzeci kardynałem. Książe Wiktor raciborski mówił nieźle po polsku i chętnie się językiem tym odzywał do włościan, zwłaszcza przy sposobności wystaw rólniczych włościańskich, których był protektorem. Lekarz jego przyboczny, Dr. Roger zebrał i wydał najobszerniejszy dotychczas, a niestety mało znany, chociaż prawdziwe skarby w sobie mieszczący zbiór polskich pieśni ludu szląskiego z melodyami, i pierwszy z Niemców przyznał w przedmowie, że język ludu górnoszląskiego jest tym samym językiem, jakim mówi cała Polska. Mimo to nie można twierdzić, że książę Raciborski cieszył się miłością ludu i że wybór jego był wynikiem zaufania, jakie lud do niego żywił. Przeciwnie, lud górnoszląski nienawidził go w skrytości serca tak samo, jak nienawidzi wszystkich innych panów i magnatów, bo jakkolwiek wielu z nich n. p. także książę Pszczyński (Pless) mówi polsku, to całe ich postępowanie, cała administracya ich majątków jest na wskroś niemiecka i germanizatorska. Antagonizm między

---

SVEN LANGE.

ENGELKE.

Tłomaczyła **Marya L.**

(Ciąg dalszy.)

Wiadomem było, że z początku nawet w jego własnem stronnictwie niezbyt go ceniono: dopiero po pewnym czasie poznano się na nim i oceniono jego energię i bezwzględność jak należało. Wkrótce też dla łatwości przemawiania i wpływania na masy — stał się w partyi swej niezbędnym. Nikt inny nie mógł z tak ciasnym, krótkowzrocznym fanatyzmem napadać na wszystko, co przekraczało ciasny horyzont małych, ociężałych umysłów tłumu, nikt też nie mógł z równą prostotą ducha i wiarą niewzruszoną powtarzać te wszystkie potwarze i oszczerstwa, rzucane na przeciwników. Za to wszystko zaskarbił sobie łaskę swego stronnictwa tak, że występował potem w pismach jako „młody, wiele obiecujący człowiek nauki“.

Ten więc „młody, obiecujący człowiek“ często przychodził do dr. Pauli za życia żony. Po jej śmierci stały się mniej częste jego wizyty, gdyż doktór nie ukrywał wcale przed nim swej niechęci; było to indywiduum, od którego najlepiej trzymać się zdala, jak sądził. Do tego przyłączył się jeszcze wzgląd inny. Pauli zauważył, że córka jego niepokaźnego tego człowieka pewną obdarzała sympatyą; od dzieciństwa się znali, mówili sobie „ty“ i chętnie zawsze przebywali razem.

Sympatya ta mogłaby zmienić się w uczucie żywsze, w miłość, — a temu trzeba było w jakibądź sposób zapobiedz. Ze strachem myślał o tem; mieć za zięcia człowieka, który całkiem poważnie stawia wyżej H. I. Ewalda od I. P. Jacobsena — to hańba, wstyd! Zapewne i w innych dziedzinach był on głupcem skończonym! Stanowczo, nigdy się na to nie zgodzi! Z doświadczenia wiedział, że mówić o tem z Engelką zupełnie byłoby bezcelowem — postanowił więc sam w tej sprawie działać. Odtąd w dysputach swych z Norgaardem nie ustępował z niczem, oponował i zbijał jego zdania z wyższością człowieka rozumnego, mającego przed sobą upartego pedanta; zachowując zawsze niezmieniony spokój i powagę, nie szczędził przeciwnikowi swemu drwin i szyderstw. Rezultatem niuniknionym tego było to, że po pewnym czasie Nörgaard usunął się zupełnie. Jedyny to był sposób załatwienia tej sprawy; niepodobieństwem jednak było poznać, jak zerwanie to przyjęła Engelke. Na pozór niezmieniona, cicha, spokojna, jak zawsze. Niezawodnie i to był tylko kaprys, jak wiele innych rzeczy u niej!

Zostawmy ją w spokoju, — to będzie najlepiej — pomyślał.

Lecz dnia pewnego wieczorem zjawił się Nörgaard niespodzianie. Bergström był jak zwykle obecnym. Wszedłszy do pokoju przywitał wszystkich spokojnem „dobry wieczór“, na co obecni zaledwie skinieniem głowy odpowiedzieli; lecz to zdawało się nie robić na nim żadnego wrażenia, jakby nie zauważył nawet chłodnego przyjęcia. Bergström przyglądał mu się z ciekawością; wkrótce jednak rozgniewało go lekceważące zachowanie się wobec niego Nörgaarda, którego każde słowo, ruch każden, świadczyły wyraźnie o tem, że uważa on się tu za bliższego. Niemniej irytować go począł nawpół mentorski sposób mówienia do Engelki. Doktór widocznie był niezadowolonym; od czasu do czasu wtrącał słówko do ogólnej rozmowy, patrząc przytem znacząco na Bergströma. Engelke także niewiele mówiła, była jakby zaniepokojona, na twarzy jej widać było zmieszanie. W końcu Nörgaard sam opanował teren, — głos jego jednostajny przez dłuższy czas napełniał pokój. Lecz i Bergström nie mógł już dłużej milczeć; licząc więc na pomoc doktora, a nie obawiając się wielce tem dotknąć Engelki, przypuścił szturm do przeciwnika swego. Miał on wiele zręcznych argumentów, któremi w dysputach zwykł był się posługiwać

panem wiejskim lub fabrycznym a chłopem resp. robotnikiem jest na Górnym Szląsku daleko większy, niż gdzieindziej, bo potęguje go różnica języka a częstokroć i wiary. W ogóle, nigdzie pewnie w granicach cesarstwa niemieckiego nie traktowano ludu gorzej, jak do niedawna na Górnym Szląsku. Ci sami Niemcy, którzy bezustannie kładą w uszy polskiego chłopa okrutne baśnie o ucisku ludu w dawnej Polsce, ci sami Niemcy uważali do niedawna górnoszląskich chłopów polskich za helotów i paryasów, za istoty podrzędne, nie zasługujące na żaden szacunek a wcale już nie na uprawnienie. W potocznej mowie nie nazywają oni chłopa polskiego i dziś jeszcze nigdy prawie inaczej, jak „der dumme polnische Bauer“, albo „der polnische Kaffer“, a ta pogarda przeniosła się z biegiem lat na wszystko, co polskie. Ponieważ Niemcy górnoszląscy lub gorsi jeszcze od nich inteligentni renegaci do niedawna nie mieli przeciwko sobie prawie wcale inteligencyi polskiej, z którą by się bardziej liczyć byli zniewoleni, przeto też ta pogarda dla wszystkiego, co polskie, zresztą przez wieki całe, jak to już na poprzednio wspomnianym przykładzie o „głupich Maćkach“ wykazaliśmy, uprawiana, zrosła się tak z naturą całej naszej inteligencyi niemieckiej lub zniemczonej, że nawet dobrze wychowany Niemiec na punkcie polskości w rozmowie lub stosunkach z Polakiem mimowoli zadraśnie uczucia jego i dla tego towarzyskie stosunki między Polakami szanującymi swą godność narodową a Niemcem są po dziś dzień jeszcze na Górnym Szląsku prawie wcale niemożliwe.

Więc nie można się dziwić, że w takich warunkach lud szląski Panów swoich nienawidzi. Jeśli zaś ich wybierał na posłów, to wybierał pod presyą chlebodawców i duchowieństwa, które aż do czasów walki kulturnej, jak już powiedzieliśmy, było ultrarządowe i nieraz między sobą w służalczości dla władz i panów patronów formalnie licytowało o lepsze. W takich atoli też warunkach, wobec tak potężnej falangi połączonych przeciwników było wyemancypowanie ludu pod względem społecznym i narodowym rzeczą prawie niemożliwą.

Walka kulturna zmieniła od razu postać rzeczy. Księża, mając, że się tak wyrazimy, nóż na gardle w prawach majowych, zniewoleni zostali do walki przeciwko rządowi, do obrony własnych interesów. Sami naturalnie byli za słabi do oporu, do pokuszenia się o mandaty; z konieczności rzeczy musieli oprzeć się na ludzie polskim, ponieważ magnaci, szlachta i zniemczeni mieszczanie najzupełniej stanęli po stronie rządu. Książę Raciborski naprzykład był jednym z pierwszych „s t a a t s k a t o l i k ó w“, ojcem sławnego owego adresu „staatskatolików“ do tronu. Starokatolicyzm znalazł między katolicką inteligencyą niemiecką po miastach tylu zwolenników, że księża w miastach tych nieraz z wyjątkiem ludu polskiego i mniejszych rzemieślników nikogo absolutnie nie mieli po swej stronie. Wtedy naturalnie strach wielki padł na „urodzonych przywódzców ludu“, jak sami się nazywają, i wtedy też do „polskich Maćków“ udano się o pomoc. Że zaś do serca i przekonania tych Maćków można było tylko trafić za pomocą języka polskiego i przez okazywanie sympatyi dla narodowości polskiej, więc też pod presyą stosunków Centrum szląskie, wówczas utworzone, wciągnęło do swego programu także obronę języka ojczystego ludu. Na wiecach wyborczych i ludowych używano przeważnie języka polskiego, starano się o kandydatów poselskich, którzyby jako tako chociaż do ludu po polsku przemawiać mogli, a co najważniejsze, skaptowano sobie zupełnie jedyny wówczas na Górnym Szląsku wychodzący organ polski, „Katolika“, wydawanego z trudem i mozołem przez Karola Miarkę, przez udzielenie mu materyalnego poparcia, które bywało bardzo znaczne. A co najciekawsze, że pieniądze na poparcie i rozszerzenie „Katolika“ dawali głównie ludzie, którzy dziś znów są zdeklarowanymi nieprzyjaciołmi ruchu polskiego na Górnym Szląsku, np. ks. ekskanonik F r a n z i hr. B a l l e s t r e m. Już z tego poznać można, że nie chodziło im wtedy wcale a wcale o polskość, li tylko o obronę praw Kościoła katolickiego i że „K a t o l i k a“ uważali li tylko za narzędzie do skuteczniejszej obrony. Był to krok zresztą z ich strony bardzo mądry i polityczny, bo od razu zawładnęli budzącym się samodzielnie pod wpływem Miarki i „Katolika“ ruchem polskim i uczynili ruch ten zależnym od siebie. „Katolik“, który z początku był bardziej zabarwiony narodowo, stał się naturalnie w tych stosunkach pismem centrowo-katolickiem, o tyle tylko polskiem, że po polsku drukowanem. Był to również jeden z owych ważnych momentów w dziejach naszych, z których skorzystać należycie nie potrafiliśmy. Zamiast oto przez silne poparcie Miarki i budzącego się ruchu narodowego dać mu pewniejszą podstawę i ruch ten połączyć z ruchem politycznym w Wielkopolsce, pozwolono zagarnąć go Niemcom katolikom i jeszcze hymny pochwalne śpiewano na cześć tych „zacnych“ i „szczerych“ „przyjaciół polskości“. T o ś l e p e z a u f a n i e d o p a r t y i c e n t r u m j u ż s i ę k i l k a k r o t n i e n a n a s z e m ś c i ł o, a o d b i j e s i ę n a n a s z a p e w n e b a r d z i e j j e s z c z e w p r z y s z ł o ś c i. Ale wróćmy do wyborów. Otóż skutek zbuntowania się księży przeciwko rządowi był piorunującym. Prawie we wszystkich okręgach górnoszląskich upadli kandydaci rządowi, a zwyciężyli przy pomocy ludu polskiego kandydaci centrowi. Upadł też wtedy i Książę Raciborski we własnym swym okręgu i już mimo wszelkich wysiłków odzyskać go nie zdołał. Dla ludu, niecierpiącego swych panów potrzeba było tylko takiego impulsu ze strony duchowieństwa, aby pokazał swą siłę i w ten chociaż sposób dał im uczuć swą niechęć.

Tak powstało centrum szląskie. Miało ono z początku naturalnym zbiegiem okoliczności tendencyę demokratyczną, później dopiero przez manewry wielu magnatów i panów katolickich i przez przyłączenie się do partyi ogólnocentrowej charakter ten powoli zatracać się zaczął. Była to bądź co bądź anomalia polityczna i jest nią po dziś dzień. Powiedzieliśmy już powyżej, że wszyscy prawie Niemcy górnoszląscy — z wyjątkiem może powiatów głubczyckiego i nyskiego, oraz przeważna część Polaków zniemczonych pozostała wierną rządowi i potworzyła stronnictwa rządowe. Między około 160 tysiącami głosów, oddawanych w przeważnie polskich okręgach wyborczych na kandydatów centrowych, jest co najwyżej 10,000 głosów niemieckich. Centrum n i e m i e c k i e jest więc na Górnym Szląsku de facto skazane na łaskę p o l s k i e g o ludu i zniknie od razu z widowni politycznej, gdy łaskę ludu utraci. Jest to w samej rzeczy czysto p o l s k i e stronnictwo z n i e m i e c k ą nazwą i niemiecką tendencyą.

Być może, że sprawa nasza byłaby inny obrot wzięła, gdybyśmy byli już wtedy posiadali więcej inteligencyi rodzimej lub gdybyście Wy, bracia Wielkopolanie, liczniej nam byli inteligentnych ludzi nasłali. W braku własnych przywódzców trzeba było ślepo zaufać księżom, którzy naturalnie sami zniemczeni, — o nadaniu szląskiemu stronnictwu centrowemu chociażby p o l o r u więcej polskiego ani nie pomyśleli, przeciwnie uważali to nawet wręcz za zdradę swej niemieckości. Znakomicie też przytem strzegli hegemonii swej i podejrzliwem okiem śledzili rozrzucone u nas jednostki inteligencyi polskiej, usuwając je najhaniebniejszemi nieraz sposobami za najmniejsze śmielsze trochę podniesienie głowy.

Dopóki trwała walka kulturna było dla nas pół biedy, boć przywódzcy centrowi, tak świeccy jak i duchowni, już z konieczności bronili praw naszych językowych i jako tako jeszcze obchodzili się z nami. Ale skoro walka kulturna zwalniać zaczęła, skoro rząd przestał uważać centrum za stronnictwo wrogie dla państwa, skoro wciągnął je w zakres swych kombinacyi

---

rozwinął więc teraz akcyą z całą rutyną wprawnego stylisty. Z początku Nörgaard ledwie raczył odpowiadać, potem jednak coraz więcej się rozdrażniał, wreszcie stracił zupełnie równowagę. Tego tylko życzył sobie Bergström, gdyż z chwilą tą miał już zapewnioną przewagę nad przeciwnikiem. Główną siłą jego była spokojna argumentacya, a tego nie posiadał Nörgaard. Rozmowa z początku ogólna, na temat polityki i literatury prowadzona, stawała się coraz więcej osobistą, dzięki Nörgaardowi, który ją ciągle na tory te sprowadzał. Stał się w końcu grubiańskim: krzyczał, używając słów obelżywych, oczy błyszczały złowrogo z za okularów, a twarz jego zazwyczaj brzydka stała się jeszcze szpetniejszą. Bergström przyglądał mu się zdziwiony, nie przypuszczał on, ażeby zwykła dysputa tak mogła wzburzyć człowieka. Wyglądał, jak gdyby szło o życie.

Engelke z twarzą zarumienioną i pałającemi oczyma pilnie śledziła za biegiem dysputy gorącej, a doktór zwyczajem swoim szybko przebiegał pokój, rzucając od czasu do czasu przelotne spojrzenia na mówiących. Spór trwał dość długo; w końcu zakończył go Nörgaard w sposób dziwny, bo urwał nagle w środku jakiejś tyrady. Bergström w poczuciu odniesionego zwycięstwa uczynił jakąś żartobliwą uwagę, na którą Nörgaard nic nie odrzekł. Po chwili zaś powstał z krzesła i pożegnawszy się chłodno z doktorem, wyszedł z pokoju, nie zwróciwszy uwagi najmniejszej na Engelkę i Bergströma.

Pozostali długo jeszcze o nim rozmawiali; zdaniem wszystkich był on straconą ofiarą ciemnego fanatyzmu, który pozbawił go już wszelkich uczuć ludzkich. Engelke siedziała jak zwykle milcząca, lecz w wyrazie jej twarzy spostrzegł Bergström teraz pewien odcień sympatyi, z jaką zwracała się do niego lub na jego odpowiadała pytania.

Wkrótce przekonał się, że nie był w błędzie; nie uciekała już, gdy przychodził, a czasem przesiadywali sami w pokoju, swobodnie z sobą gawędząc. Mówili o książkach, o sztuce, o rozmaitych kwestyach politycznych, religijnych lub społecznych; nie było kwestyi, którejby nie potrącili w czasie tych rozmów. Ona, w róg kanapy wsunięta, z robótką w ręku, siedziała cicha, uważnie słuchając. Słuchała w skupieniu, niekiedy z takim blaskiem w jasnych oczach, jakby wszystkie jego myśli, wszystkie argumenty wchodziły w nią, czyniąc jej duszę myślącą... On zaś chodził najczęściej po pokoju, mówił wiele, śmiał się czasem wesoło, żartował, co dzień szczęśliwszy, co dzień więcej zakochany. Poznawszy ją lepiej, mniej wydała mu się istotą nadziemską, mniej eteryczną, świeższą zato i mędrszą niż sądził poprzednio. Jak się okazało nie była też ona taką głupiutką, bez wszelkich wiadomości dzieweczką, za jaką ją miał; w rzeczywistości więcej rozumiała, więcej uczyła się i umiała, niż przypuszczał, choć nie rozporządzała tem tak wprawnie. Wiadomości jej nie były, jak zauważył, w należytym ze sobą związku.. Wszystkiemu, cokolwiek czytała lub słyszała, nadawała własny swój indywidualny koloryt, wszystko zabarwiała swą radością, podziwem lub też niechęcią i wstrętem: tak więc mieszały się i zlewały wrażenia w duszy jej młodej, wrażliwej, jak kwiat świeżej. Gdy się jej wprost czasem zapytał, co wywołuje jej sympatye, skąd pochodzi jej oburzenie, była zakłopotaną. Wreszcie przyznawała, że nie wie, lub odpowiadała nic nie znaczącemi ogólnikami. W umyśle jej nie uporządkowały się jeszcze jej wiadomości, tak jak to bywa u wyżej rozwiniętych umysłów, które umieszczają wiedzę swą w oddzielnych szufladkach jak w aptece i mogą też bez zwłoki każdą szufladkę zosobna wyciągnąć. Umysł Engelki nie miał jeszcze tego ładu; w duszy jej musiał Bergström szukać dopiero, a nierzadko w pewnym ją zwrócić kierunku, jeśli, zdaniem jego, na błędnej znajdowała się drodze. Z wielką ostrożnością zabierał się do dzieła: najpierw badał dokładnie, jak silne były fundamenta dawnych wierzeń, zanim odważył się je zachwiać. Lecz nie zawsze mu się udawało. Często poznawał po nagłem jej milczeniu, marszczeniu czoła z niezadowolenia, lub po oczach łzami zaszłych, jak dotkliwie uczucia jej zadrasnął. Im bliżej ją jednak poznawał,

politycznych, skoro, przekonawszy się, jaki błąd popełnił, zwłaszcza księży górnoszląskich głaskać i na swoją stronę przeciągać zaczął, zmieniło się od razu postępowanie naszych panów centrowych. Zaczęli oni coraz bardziej stygnąć w swej sympatyi do polskości, język polski coraz bardziej wypędzano z wieców i zebrań, coraz otwarciej zwalczano budzącą się inteligencyą polską; wywołano nawet widmo „wielkopolskiej agitacyi“. Księżom, przeważnie usposobienia niemieckiego i z scharakteryzowaną poprzednio już służalczością, była ta walka kulturna wogóle ogromnie niewygodną, bo pociągała za sobą dużo ofiar osobistych i materyalnych. Więc gdy rząd wyciągnął rękę do zgody, zwłaszcza centrum szląskie chwyciło się jej oburącz, i mało brakowało, że w roku 1893 byłoby przeszło z rozwiniętemi sztandarami do obozu rządowego, — gdyby nie był przeszkodził temu właśnie lud p o l s k i. O tej tedy ważnej chwili pomówię w następnym ostatnim artykule.

Dziś tylko jeszcze zaznaczę, że jedyną korzyścią, ale też bardzo wielką, jaką odnieśliśmy z walki kulturnej było rozbudzenie ludu naszego z indyferentyzmu, w jakim pozostawał. Lud poznał, że obrona praw swoich nie jest jeszcze rewolucyą, — a przedewszystkiem poznał w ł a s n ą s i ł ę.

Stosunki partyjne Czech.

(Ciąg dalszy).

Spór o autentyczność rękopisów wkrótce przybrał charakter prawdziwej walki o wolność krytyki i myśli w ogóle. Młodzi uczeni musieli staczać boje z całym tłumem fanatyków (tak staro jak i młodoczeskich), którzy aczkolwiek przyznawali w głębi duszy słuszność realistom, jednakże uważali za niestosowne zdzieranie maski z falsyfikatów, działających „dla dobrej sprawy“.

Fakt ciekawy, że Realiści, którzy pod względem zapatrywań społecznych są daleko bardziej postępowi niż Młodoczesi, wyszli ze stronnictwa s t a r o c z e s k i e g o i dopiero przed wyborami r. 1891 przyłączyli się do Młodoczechów. Grupa realistów zajęła w klubie młodoczeskim stanowisko całkiem autonomiczne i bardzo dobrze wpływało na całe stanowisko, Jednakże kiedy główny reprezentant grupy realistów, prof. Masaryk zrzekł się (w r. 1895) mandatu, Realiści przestali odgrywać rolę samodzielną w polityce, a dwaj posłowie realiści — Kaizl i Kramarz, — pracują w ścisłym związku ze stronnictwem młodoczeskiem, wyróżniając się na jego szarem tle — dzięki swemu wykształceniu i swej znajomości kwestyi ekonomicznych.

Zrzekłszy się mandatu poselskiego, prof. Mazaryk poświęcił się całkowicie działalności publicystycznej i naukowej, przyczem wpływ jego na obu tych polach jest nader dodatni. Jako rozumny, wszechstronnie wykształcony i wielce utalentowany profesor, dr. Mazaryk cieszy się wielką a całkiem zasłużoną popularnością wśród młodzieży. Jego nadzwyczaj ciekawe wykłady zapoznały młodzież czeską z całym szeregiem kwestyi, o których najmniejszego pojęcia nie miały starsze pokolenia. Omawiając w swych wykładach kwestye najżywotniejsze, prof. Mazaryk zachęcił licznych swych słuchaczów do zajęcia się sprawami społecznemi. W ten sposób prof. Mazaryk przyczynił się do powstania wśród młodzieży t. z. ruchu postępowego, o którym będziemy mówili dalej. Jego działalność publicystyczna spowodowała rewizyę całego programu narodowego Czechów, wyjaśnienie głównych zasad czeskiego życia narodowego. W dziedzinie literackiej pod jego to głównie wpływem powstała cała szkoła krytyków. Organ prof. Masaryka „Nasze Doba“ nie tai się występować przeciwko wszelkiemu fałszowi, chociażby misternie ułożonemu w dźwięczne frazesa patryotyczne. Oba organy Realistów t. j. „Nasze Doba“ i redagowany przez dr. Harbena tygodnik „Czas“ odgrywają bardzo wybitną rolę w życiu umysłowem inteligencyi czeskiej, przyuczając ją myśleć samodzielnie i krytycznie się na wszystko zapatrywać.

Realizm — jak go formułuje sam prob. Masaryk*) nie chce być wyłącznie stronnictwem i tylko stronnictwem; jestto raczej kierunek, metoda. Prof. Masaryk uważa politykę za rzecz nader donośną, ale, nie za główną i jedyną dla narodu. Pierwszą i główną sprawą powinien być wewnętrzny, moralny i kulturalny rozwój społeczeństwa. Życie państwowe i polityczne, to tylko jedna strona żywota duchowego narodu. Życie państwowo polityczne nie ma dla narodów, zwłaszcza drobnych, tego znaczenia, jakie mu się zwykle przypisuje. „Niezależność polityczna nas ani nie zbawi, ani nie zachowa“. Prof. Masaryk wciąż powtarza, że człowiek przedewszystkiem powinien starać się o udoskonalenie moralne, stawać lepszym, humanitarniejszym, a we wszelkiej walce posługiwać się wyłącznie uczciwemi środkami. To ustawiczne przypominanie, że działalność każdego polityka powinna opierać się o zasadę moralną, jest nadzwyczaj doniosłą w Czechach, gdzie fałszywie pojęty nacyonalizm wywiera wpływ nader demoralizujący. W skutek taktyki obecnych kierowników polityki czeskiej, dziś w Czechach z działalności politycznej usuwa się wszelki moment moralny. Demoralizacya ta zapuściła już bardzo głęboko swe korzenie, i obecnie Czech gotów jest usprawiedliwiać najniemoralniejszą taktykę, byleby przynosiła jakąś korzyść narodowi. Wychodząc z zasady humanitaryzmu, prof. Masaryn uważa za główne zadanie inteligencyi pracę na korzyść tych klas, które dotąd były zupełnie lekceważone we wszelkiej robocie kulturalnej. Dać im tylko pewne prawa — tego za mało; powinniśmy myśleć i pracować razem z nimi i dla nich. Realizm żąda rozszerzenia i dopełnienia literackiego, naukowego i filozoficznego wykształcenia, przyczem wiedza powinna stać się dostępną dla jak najszerszych mas ludowych. Wychodząc również z tej samej zasady, prof. Masaryk uważa za niechybne osiągnięcie zgody z ludnością niemiecką Czech, Morawy i Szląska, co da się otrzymać tylko wówczas, kiedy żadna narodowość nie będzie się obawiała o uszczuplenie swych praw t. j. wówczas, kiedy każda narodowość będzie nieograniczonym gospodarzem we wszystkich swych sprawach wewnętrznych.

Rzecz całkiem zrozumiała, że jeśli z jednej strony wśród lepszej części młodzieży czeskiej idee prof. Masaryka spotkały się z wielką sympatyą, to z drugiej strony starsza inteligencya (Staroczesi, Młodoczesi, a przedewszystkiem Klerykali) zachowuje się względem niego wrogo, a w walce z nim ucieka się niekiedy do środków niezbyt czystych. N. p. na wykładach jego siedzą szpiegowie redakcyjni (szczególny gatunek!), którzy go następnie szkalują w pismach (zwłaszcza klerykalnych), czerpiąc materyał do insynuacyi i donosów ze słów przez niego wypowiedzianych. Prasa prowincyonalna, jako też i pisma humorystyczne, usiłują przedstawić prof. Masaryka jako zdrajcę ojczyzny, nienawidzącego wszystko, co święte dla każdego Czecha. „Narodni Listy“ starają się zbyć milczeniem działalność prof. Masaryka. Jest to zresztą zwykła taktyka głównego organu młodoczeskiego, stale używana w celu zabicia niesympatycznych mu prądów.

W ogóle trzeba przyznać, że czeska prasa polityczna ma charakter nader niesympatyczny. Będąc chlebem powszednim całego narodu czeskiego demoralizuje ona szerokie koła swych czytelników. Zajadłe sprawy o drobnostki, oszczerstwa, insynuacye, używanie w polemice środków, nic wspólnego z publicystyką nie mających — oto charakter większości pism

*) W wydanej niedawno pracy „Czeska otazka.“

---

tem więcej utrwalała się w nim pewność, że środki, jakich używał, nie chybiały celu. Tak więc wprowadzał ją powoli w krainę dla niej nową — jemu zaś znaną oddawna; nie posiadał on głębokiej, gruntownej wiedzy, lecz zapał i chęć wyjaśnienia jej nieznanych rzeczy, a także wzrastające zainteresowanie dla samego przedmiotu nadawały słowom jego młodzieńczą świeżość i siłę przekonania. Z uśmiechem podziwiał on sam siebie. Czyż to rzeczywiście możliwe, ażeby on, stary cynik, dla którego nic zgoła świętego nie było pod słońcem — nawet Jerzy Brandes — ażeby on nagle czuł się przejętym kilku staremi dogmatami jak: rzeczpospolita, ateizm, indywidualizm, nadużycia rządu i t. p. i t. p., dla których od lat kilku nie miał nic nad uśmiech politowania? A jednak tak było, a rzecz miała się tak: oto ta mała urocza dzieweczka w najwyższym stopniu go teraz interesowała; i nietylko dla niezwykłego jej uroku, jaki nań wywierała; miał on zarazem instynktowne wrażenie, że on to w rękach swoich duszę jej przeobraża i na swą modłę urabia. A to pogłębiało jego miłość dla niej. Poznał w niej dzieweczkę o głębokich silnych uczuciach — obok niezwykłej, chorobliwej prawie wrażliwości, jaką posiadała. Nie było to jednak w niej przymiotem, jak u wielu innych kobiet, — to raczej cała jej istota, dziewiczość jej duszy. Bez tego byłaby taką, jak wiele innych dziewcząt, tą zaś delikatnością i wrażliwością wyróżniała się z pośród innych. Fantazyę jej osłabiała i paraliżowała bezbarwność życia codziennego — a delikatne uczucia czyniły ją czystą, nieskazitelną jak skrzydła białe gołębia. Myśli jej nie były ani głębokie, ani oryginalne — ale o tak czystym dźwięku, jak ton dzwonu srebrnego. Tak — sądził on — należało ją rozumieć. Tak i na tej tylko drodze mógł wyjaśnić sobie pewne zjawisko, zauważone u niej dnia pewnego. Stała się fanatyczną, zagorzałą. Czyżby on wzniecić miał ten pożar w jej duszy? czyż te pojęcia o obowiązkach względem siebie i innych on miałby wszczepić w jej umysł? Sam siebie zapytywał o to, — pytał i ją, skąd tych pojęć nabrała — rozumie się, że nie zdawała sobie z tego sprawy, że je od niego przejęła. Lecz to właśnie wyjaśniało mu rzecz, a zarazem nowego bodźca dodało jego uczuciu: wkrótce też sam zaraził się jej zapałem rewolucyjnym, a dawniejszy radykalizm młodzieńczy, którego dotąd nigdy tak silnie nie odczuwał — z całą opanował go mocą. Wówczas to stała się owa rzecz dziwna — a jednak tak zrozumiała: zaręczyli się, jak to się zwykło nazywać.

W wzajemnym ich stosunku do siebie nie nastąpiła wielka zmiana; zbliżyli się ku sobie, teraz bowiem nie unikała już osobistych tematów rozmowy. I wtedy wyjaśniła mu sama wiele rzeczy, których zresztą sam przedtem się domyślał. Sympatyą swą dla Nörgaarda przypisywała w pierwszym rzędzie wpływowi wielce pobożnej matki, która go bardzo lubiła, a także pewnemu uczuciu litości, jakiego doznawała zawsze na widok nieszczęsnej jego postaci. Potem przestała go widywać, — miejsce jego zajął Bergström; przyznawała się, że z początku nie lubiła go wcale, bo taki był dziwny, a przytem tak bezwzględne wypowiadał sądy. Wówczas instynktownie więcej wierzyła w poglądy Nörgaarda — lecz od owego ostatniego wieczoru znienawidziła go; nie przypuszczała nigdy, że człowiek ten może być tak głupim i niezręcznym. Od tej chwili niechętnie o nim mówiła, a unikała wszystkiego, co jej przypominało tego niemiłego pana. Tak więc łatwo, bez oporu prawie uległa wpływowi Bergströma, był on przecież jedynym, z którym mogła rozmawiać, — ojca swego zrozumieć nigdy nie mogła. Lecz ona nie myśli już o tem, co było, życie jej dopiero teraz się rozpoczęło.

W zwierzeniach tych, które powoli z niej wydobywał, nie było nic nadzwyczajnego, lecz Bergström był niemi do żywego dotknięty, a więc to niczem więcej nie jest — myślał — jak tylko naturalną reakcyą... Po pierwszych wybuchach uwielbienia, towarzyszącym pierwszym dniom narzeczeństwa, nastąpił teraz u niego zwrot nagły. Nie była ona widocznie ową wyjątkową kobietą, jaką wydawała mu się w początkach, a musiał przyznać, że ten jej fanatyzm począł go niepokoić.

czeskich. N. p. „Hlas Naroda“, organ urzędowy stronnictwa staroczeskiego, widzi główne swe zadanie w polemice z Młodoczechami i to w polemice brukowej, oszczerczej, nie brzydzącej się niekiedy nawet denuncyacyą. Jeszcze dalej idzie w tym kierunku klerykalny „Czech“. „Narodni Listy“ są od nich uczciwsze, ale i ich taktyka daleką jest od doskonałości; pomijamy już to, że są całe kategorye zjawisk, o których „Narodni Listy“ starają się swych czytelników pozbawić wszelkich informacyi, pozwalając sobie na fałszowanie komunikatów ajencyi telegraficznej. Ma to miejsce zwłaszcza wówczas, kiedy zmuszone są mówić o wewnętrznych stosunkach Rosyi.

Jeśli praskie sprawiają na każdym cudzoziemcu wprost wstrętne wrażenie, to już nie ma co mówić o mnóstwie pism, pisemek i świstków prowincyonalnych. Nigdzie nie można spotkać takiej ogromnej liczby uciekinierów z jednego obozu do drugiego, jak w Czechach. Są publicyści, którzy umieją pisać jednocześnie do organów wrogich względem siebie stronnictw. Szkoda, jaką przynosi Czechom prasa, jest bardzo wielka, ponieważ prawie każdy Czech czyta pisma. Jeśli organom Realistów uda się choć w pewnej mierze wpływać na podniesienie poziomu moralnego dziennikarstwa czeskiego, to i to już będzie stanowiło ich ogromną zasługę.

Działalność prof. Masaryka przygotowała grunt dla nowego ruchu wśród młodzieży czeskiej, ruchu, znanego pod nazwą postępowego, a u nas bardzo często zupełnie niesłusznie utożsamianego z głośną „Omladiną“.

III.

Ruch ten powstał w łonie młodoczeskiego odłamu młodzieży uniwersyteckiej, która pod wpływem wykładów prof. Masaryka, jako też dzięki bliższemu zapoznaniu się z literaturą zachodnio-europejską, poczęła zastanawiać się nad zagadnieniami politycznemi, społecznemi i kulturalnemi i chciała wyjaśnić sobie swą przyszłą rolę w społeczeństwie czeskiem. W r. 1889 ukazał się pierwszy organ tej młodzieży „Czasopis czeskeho studentstva“. Początkowo pismo to było dość bezbarwne, a żądania jego ograniczały się na reformie życia młodzieży czeskiej. Redakcya chciała przyczyniać się do tej reformy, wskazując na wady i błędy młodzieży i pomagając jej kształcić się i umoralniać. Jednakże już w roku następnym redakcya oświadcza, że „Czasopis czeskeho studentstva“ ma zapoznawać swych czytelników nietylko z tem, co bezpośrednio odnosi się do życia studenckiego, ale również i z kwestyami polityczno-społecznemi. W towarzystwie „Slavia“ odgrywającem bardzo ważną rolę w życiu młodzieży czeskiej, wytwarza się grupa stronników „Czasopisu czeskeho studentstva“, która niebawem poczyna występować już pod nazwą stronnictwa postępowego.

W r. 1891 przed wyborami do parlamentu grupa ta zwołuje wiec młodzieży, na który stronnictwo młodoczeskie uznało za niezbędne wysłać dwóch członków swego komitetu wykonawczego — dr. Engla i dr. Kuczerę. Młodzież wypowiedziała swe żądania i uchwaliła rezolucyę, domagającą się, ażeby posłowie młodoczescy zajęli w parlamencie stanowisko nawskroś opozycyjne, energicznie żądali wznowienia czeskiego prawa państwowego, weszli w stosunki ściśle z posłami południowo-słowiańskiemi i zawiązali sojusz z t. zw. „partyą ludową“ na Morawie.

W maju r. 1891 w Pradze odbył się zjazd postępowej młodzieży słowiańskiej, na którym został wypracowany przez Czechów, Polaków i Rusinów program polityczny „stronnictwa postępowego“*) Sekcya czeska oświadczyła się za czeskiem prawem państwowem i unią personalną Czech z innemi krajami Austryi.

*) Na zjeździe tym byli obecni delegaci: Czechów (120), Polaków (45), Serbów (26), Chorwatów (22) i Rusinów galicyjskich (16). Byli tam również i tak zwani „Rosyanie z Galicyi“ (4). ale ci ustąpili już na drugi dzień obrad, ponieważ nic wspólnego nie mieli ze zjazdem, który w nader stanowczy sposób zaprotestował przeciwko eksterminazującej polityce Rosyi wobec Polaków i Ukraińców.

Leon Wasilewski.

(Dokończenie nastąpi).

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

„G a z e t a G d a ń s k a“ donosi, że na petycyą wystosowaną przez Polaków-Gdańszczan do ks. biskupa Rednera, w której prosili, aby jeden z kościołów gdańskich służył nabożeństwom polskim, nadeszła odpowiedź odmowna; również odmowną jest odpowiedź dotycząca ustanowienia w Gdańsku dla Polaków osobnego księdza, którvby co niedzielę odprawiał polskie nabożeństwo W odpowiedzi swej — oczywiście niemieckiej — powiada jeneralny wikaryat, że przez urządzenie głównego nabożeństwa polskiego z polskiem kazaniem i polskiemi śpiewami doznaliby Niemcy-katolicy uszczerbku.

—

„G a z e t a T o r u ń s k a“ (Nr. 134) donosi:

„W gdańskim „Volksblacie“ znajdujemy następujący inserat: „Jedyna gazeta polsko katolicka, zwalczająca śmiało hum bug narodowościowy, jest „Warmiak“. pismo dla duchowieństwa i ludu katolickiego. Stanowisko polityczne: „Centrum“.

Cóż na to powie raciborski „Kuryer“? Czy on także popiera „humbug“ narodowościowy. Nie dała papierowemu „Warmiakowi“ chleba Warmia z Mazurami a więc nie utuczy go i Gdańsk z kosznejdrami.“

—

Wobec antypolskiej działalności szląskiej odnogi spółki H. K. T. zamieszcza „G a z e t a O p o l s k a“ (Nr. 47) gromką pobudkę do energicznej obrony zagrożonej sprawy narodowej. „Gazeta Opolska“ kończy swój artykuł w słowach następujących:

„Polacy, teraz nadszedł czas, aby udowodnić, że jesteśmy Polakami, że jesteśmy katolikami, że ani wiary ani mowy sobie wydrzeć nie pozwolimy. Wiarę i mowę od Pana Boga mamy, żadna złość ludzka ani piekielna odczepić nas od nich nie jest w stanie. Nikomu walki nie wypowiedzieliśmy, ale za prawa nasze walczyć będziemy i da Bóg zwyciężymy

Kupujcie u swoich — niech każdy te słowa sobie spamięta, bo kupując od obcych, pomagamy Hakatystom, a własnej sprawie szkodzimy. Mówmy zawsze i jedynie po polsku. w domu, za domem, wszędzie. Skupiajmy się w towarzystwa, oświecajmy jeden drugiego, bo jednością będziemy silni. Pielęgnujmy śpiew polski w kościele i w domu. Rodzice nie zaniechajcie dzieci wasze uczyć czytać i pisać po polsku, bo straszna odpowiedzialność czeka was, jeśli dzieci wasze wyrodne za waszą wiarę i mowę wstydzić się będą“.

—

„O r ę d o w n i k“ zamieścił w Nr. 137 artykuł p. t. „Znaczenie „Przeglądu Poznańskiego“ w prasie polskiej“. W artykule tym znajdujemy ustęp następujący:

„Utrzymanie takiego pisma jest mojem zdaniem konieczną potrzebą u nas. Wypełnia ono lukę w naszej prasie, której niezapełnienie będzie zawsze anomalią i powodować będzie nienormalny i nieprawidłowy rozwój naszych stosunków. Przedział bowiem między pismami wielkiego formatu, jak je określił ks. dr. Jażdżewski, a pismami zakroju ludowego jest za wielki i wynika także z układu naszych stosunków. Jest więc potrzeba pisma, tygodnika, dla inteligencyi, któryby tejże w odpowiedniej formie i z przybraniem stosownej argumentacyi główne sprawy publiczne przekładał i wyjaśniał. „Przegląd Poznański“ ma zasługę, że przez powstanie swoje skoncentrował około siebie część naszej inteligencyi, która dotąd pracując w rozsypce, wpływu, jaki jej się należy, nie mogła na bieg nawy narodowej wywierać. Redakcyi „Przeglądu“ zaś należy się ta zasługa, że w krótkim czasie umiała dobranemi artykułami nadać kierunek polityczny organowi tejże inteligencyi. Są niedostatki także. ale te przeważają dobre strony pisma.

Znaczenie „Przeglądu Poznańskiego“ dla prasy i społeczeństwa pokazałoby się wtedy naocznie, gdyby go zabrakło“.

—

„G a z e t a G r u d z i ą d z k a“ (Nr. 71) donosi:

„Kuryer Gdański“, który to mniej więcej przed trzema kwartałami, równocześnie z „Gazetą Grudziądzką“ zaczął wychodzić, w przyszłym kwartale już się nie ukaże Mimo to będzie w Gdańsku drugie polskie pismo wychodziło, a mianowicie „Tygodnik Gdański“. O ile byliśmy swego czasu przeciwni założeniu drugiego pisma polskiego w Gdańsku, i to pisma trzy

---

— Boże kochany, wszystko na świecie musi mieć koniec — myślał — odra nie bywa nigdy chorobą chroniczną.

On sam uspokoił się po pierwszym napadzie radykalizmu — a zaprawdę, nie miał się czego wstydzić. Mimo to jednak lubił on bardzo małą swą narzeczoną.

— Jaka ona słodka, jak pełna wdzięku niewysłowionego! — myślał — a jednak dumną jest z narzeczonego swego! znać to po niej.

Szczerze też cieszył się na myśl o weselu mającem odbyć się za kilka miesięcy. Wspólnie układali piękne plany na przyszłość. Bergström z zajęciem jął opisywać dom ich przyszły, który ona urokiem swym opromieniać będzie, a w którym musi być wesoło, swobodnie!

Tak, był szczęśliwym, nikt zaprzeczyć nie może.

Dr. Pauli przyjął wiadomość o zaręczynach córki bez najmniejszego zdziwienia; dał też chętnie swoje zezwolenie. Wprawdzie zięć jego przyszły nie był człowiekiem „świetnej przyszłości“ — mais enfin! miał środki, by o nią dbać zupełnie. A zresztą przystojny, miły, był on jednym z tych niewielu, z którym można czasem porozmawiać rozsądnie. Co więcej, niepokojąca go kwestya co do Nörgaarda tymczasem rozwiązaną została, — i to otwarte. Nörgaard od owego wieczoru wcale nie pokazywał się w ich domu, można to było przypisać także jego politycznej działalności, która w ostatnich czasach szczególnie był rozwinął; spodziewano się bowiem codzień rozwiązania parlamentu i rozpisania nowych wyborów. Prawdopodobniejszem jednak było to, że uznał on powrót swój za niemożliwy, a przeto strzepnąwszy proch z nóg swoich, postanowił nie przekraczać nigdy progów tego domu bezbożnego. — Bogu dzięki!

III.

W miesiąc po zaręczynach siedział razu pewnego Bergström w pokoju teścia swego. Był sam: służąca powiedziała mu, że pan z panienką gdzieś poszli.

— Aha! — pomyślał — zapewne wyprawa! — i uśmiechnął się, wyobrażając sobie w myśli małą swą narzeczoną, chodzącą po sklepach i jej zamyśloną twarzyczkę przy wybieraniu towarów.

Teraz siedział i przeglądał pisma leżące na stole; lecz w tych czasach nie miał cierpliwości do czytania, wprost nudziła go literatura.

— Nie pojmuję, jak mogą ludzie pisać o czemś podobnem! — pomyślał i rzucił popędliwym ruchem książkę na stół. — Sądzą zapewne, że świat winien zachwiać się w posadach na wieść, że ich coś boli! Ale cóż robić? Muszą żyć biedne stworzenia!

Wstał z krzesła i parę razy przebiegł pokój, niecierpliwie patrząc co chwila na zegarek.

— Gdzież, u licha, pozostawała tak długo?

Wtem zadzwoniono. Nareszcie! Czemprędzej siadł na bujającym fotelu, plecami ku drzwiom zwrócony, wziął książkę do ręki, udając, że czyta. Cieszył się już naprzód na to, co teraz nastąpi: na palcach wejdzie ona do pokoju... ostrożnie podejdzie do niego, a potem całkiem cichutko szepnie mu do ucha: „buch!“ I na to maleńkie słówko cieszył się już bardzo, uda, że się bardzo przestraszył, będzie więc zadowoloną; jakie to będzie zabawne!

— A jakie ze mnie dziecko! — pomyślał z uśmiechem. — Ot i jest!

Drzwi pokoju otworzyły się zwolna i cicho.

Siedział całkiem spokojnie i słyszał, jak z całą ostrożnością ku niemu podchodziła... teraz już za nim stanęła... a potem?... Nagle poczuł, że fotel się przechyla — w tejże chwili ujrzał nad głową swoją jej uśmiechniętą, jasną twarzyczkę i jednocześnie uczuł jej szybki, krótki pocałunek na swych oczach, — i zdawało mu się, że woń dokoła rozlewa się cudowna, że świeżość i wiosna w sercu jego zapanowały! Wtem puściła fotel, on zerwał się z krzesła — książka upadła na podłogę!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

razy na tydzień wychodzącego, które musiało słusznie uchodzić za pismo mające „Gazecie Gdańskiej“ wytworzyć konkurencyą, o tyle nie jesteśmy wcale przeciwni temu, aby wychodziło drugie pismo polskie, raz tylko na tydzień wychodzące. Jesteśmy nawet najmocniej przekonani, że i „Gazeta Gdańska“, jako najwięcej w tem interesowana, temu się sprzeciwiać nie będzie. Taki dobrze redagowany „Tygodnik“ mógłby nawet społeczeństwu naszemu oddać niemałe usługi. Wiemy bowiem doskonale, że dużo jeszcze jest takich, a mianowicie pomiędzy ludem, pod panami niemieckimi pracującym, którzy rzeczywiście nie mają na to, aby sobie módz zapisać gazetę, która kosztuje 1 mrk., lub też 25 fen., a którzy mimo to, radziby też gazetkę przeczytać, choćby tylko w niedzielę. Dla tych ludzi byłby taki n. p. „Tygodnik Gdański“, bardzo odpowiednim. W ten sposób zyskałoby też dziennikarstwo znowu pewną liczbę nowych czytelników, a przecież na tem powinno nam zależeć, aby coraz więcej ludu czytało i aby mianowicie też najbiedniejsi mogli się oświecać za pomocą taniej gazetki. To też musimy rozpowszechnianie „Tygodnika Gdańskiego“ pomiędzy tą właśnie ludnością wszystkim ludziom dobrej woli gorąco zalecać“.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Organ panslawistów austryackich, wychodzący w Wiedniu codziennie „Parlamentär“ także poświęca refleksye wartości moralnej dzisiejszej polityki rządów europejskich:

„Trzy zasady tworzyły w początkach naszego stulecia fundament t. zw. wysokiej polityki. Pierwszą była zasada legitymizmu. Czem stała się dzisiaj? Podeptano ją i pogrzebano pod gruzami tronów wypędzonych książąt włoskich i niemieckich, rządząc się zasadą mocniejszego.

„Drugą była nietykalność traktatów. Zawierano je na czasy wieczyste, a dziś one nikogo nie zobowięzują. Traktaty na to tylko się zawierają, ażeby umowy obowięzujące łamać.

„Trzecią było przyrzeczenie wspierania się wzajemnego w walce z żywiołami wywrotu i rewolucyą. Czy atoli zasadzie tej pozostały rządy wierne. Dość przypominać sojusz Bismarcka z Madziarami w roku 1866, w którym Bismarck wzywał do rewolucyi...

„Wynika ztąd, iż owe trzy zasadnicze punkta wysokiej polityki dziś nie istnieją, że dziś innemi rządzi się ona zasadami. Wiele się teraz mówi o zasadzie narodowościowej, ale zasada ta dowolnie bywa naruszaną. O częstokroć podnoszonej tendencyi wysokiej polityki utrzymania pokoju nie warto nawet mówić, bo w nią nikt nie uwierzy.

„Obecna polityka rządów nie ma żadnych zasad, żyje ona z dnia na dzień. To jedno tylko można o niej powiedzieć, do czego się Bismarck przyznał, że zasadą jej siła przed prawem...“

* * *

Serbski „Dneyni List“ takie zawodzi żale z powodu mniemanej zgnilizny inteligencyi serbskiej w królestwie serbskiem:

„Karadjordje Miłosz, wojewoda, Hajduk Veljki i inni junacy z doby walki o oswobodzenie Serbii, byli ludzie, nie umiejący czytać i pisać, jak i społeczeństwo, z którego wyszli. Szkoła w nich nie kształciła charakterów, nie uczyła ich miłości ojczyzny, nie posiadali oni żadnych wiadomości, których dziś nabywa każde pachole serbskie, ale mieli charakter i dusze wznioślejsze, serca i umysły szlachetniejsze, aniżeli cała ta gawiedź uczonych, mężów stanu, dziś w Serbii gospodarzących.

„Ku hańbie serbskiej szkoły i serbskiej inteligencyi trzeba przyznać, że kraj nasz był szczęśliwszy, ludzie lepsi i bardziej postępowi (sic!) dopóki losami jego nie rządzili ludzie uczeni.

„W Serbii podniosło się szkolnictwo, wzmogła się oświata, ale jaki nastąpił upadek moralności, o ile dziś więcej niedołęgów moralnych i nikczemności!

„Serbska młódź w szkołach nie odbiera wychowania, ale wychodzi z nich zatruta na ciele i duszy, z bogactwem wiedzy, ale bez charakteru i upadła na duchu. Nasi urzędnicy są niewolnikami, wobec przełożonego tyranami dla podwładnych.

„Zgnilizna nie trzyma się samej inteligencyi, ale przenosi się zwolna na cały naród.

„Charakter jest u nas prześladowanym, patryotyzmu odmawia jedno stronnictwo drugiemu, cześć, przekonania — wszystko staje się przedajnem!!!

D. K.



Kwestya małżeńska.

Co począć ze staremi pannami? Zaledwiem napisał to zdanie, gdy z głębi wyobraźni mojej wyłania się posępny widok: spostrzegam zorane bruzdami „Kumy troski“ czoła ojców, załamywane w rozpaczy ręce matek i smętne twarze „siedzących na koszu“ córek. Piersi ich ściśnięte nietylko gorsetem, lecz i beznadziejnym bólem: wszak brak im tego, co stanowi najelementarniejszą prawie potrzebę istoty kobiecej — miłości.

Ileż więc prawdziwej zgrozy zawiera w sobie fakt, że w warstwach średnich — idzie nam przedewszystkiem o Niemcy — ilość kobiet, hołdujących z musu celibatowi, rośnie z każdym rokiem. Są to istoty, wyrzucane z po za stołu uczty miłosnej na bruk prozaicznej egzystencyi, pełnej walki o byt. Uginając się pod ciężkim krzyżem staropanieństwa i dając tylko od czasu do czasu ujście wypełniającej ich serce żółci, kroczą one z rezygnacyą i wyniosłem czołem, obsypywane gradem szyderstw i kpinek.

Staropanieństwo jest w ostatecznej instancyi wynikiem walki o byt, podniesionej we współczesnych społeczeństwach do wyższej potęgi i przejawiającej się w najrozmaitszych formach. Do takich wniosków doszedł prof. Haushofer, który poświęcił przed kilku miesiącami kwestyi małżeńskiej książeczkę pod tytułem: „Die Ehefrage im Deutschen Reich“. Obecnie istnieje już trzecie jej wydanie. O tem właśnie dziełku chcieliśmy pomówić. „Kto rozwiąże kwestyę małżeńską — mówi autor — t. j. potrafi w odpowiednim wieku wydać zamąż wszystkie kobiety, ten rozstrzygnie w przeważnej części kwestyę pracy kobiecej“. Dotyczy to przedewszystkiem warstw średnich i to sfer inteligentnych, gdyż tu właśnie najczęściej padają kobiety ofiarą staropanieństwa. Klasy bogate są zabezpieczone prawie zupełnie od tej klęski; w warstwach zaś ubogich małżeństwo napotyka jak najmniej przeszkód natury materyalnej. Kozłem ofiarnym przeto bywa inteligentna panna z warstw średniozamożnych. To powinno naprowadzać nas na myśl, iż działają tu w silnym stopniu czynniki majątkowe, ekonomiczne. Wchodzi tu w grę nietyle zupełna niemożliwość zawarcia małżeństwa, ile trudność urządzenia sobie gniazda rodzinnego, odpowiednio do stanowiska społecznego. Da się wprawdzie zauważyć i pewne absolutne „przeludnienie“ wśród kobiet, pewna liczebna przewaga kandydatek do hymenu nad aspirantami do stanu małżeńskiego. Statystyka Niemiec stwierdza to w zupełności. Jeżeli weźmiemy ogół kobiet starszych nad lat 16 i ilość mężczyzn w tym samym wieku, to po tamtej stronie otrzymamy przewyżkę, wynoszącą około trzy miliony. Przewyżkę tę należy nawet nieco powiększyć, wskutek tego, iż wielu mężczyzn w dojrzałym wieku jest zmuszonych warunkami

Z dziennika wykolejonej.

II.

Jest mi z naturą moją niewygodnie. Filisterskie to słówko: wygoda! prawda? Ale co powiedzielibyście temu, co radziłby nie rozstawać się nigdy z ubraniem tak szerokiem, że zaczepia o wszystkie kanty. Ja swoje znosić jednak trzeba, bo gdzie szukać owego mistrza sztuki krawieckiej, któryby je odpowiednio okroił. Jest wprawdzie jeden — świat, ale ten przystępuje znów do dzieła z tak groźnemi nożycami, że mimowoli za potęgę wrogą, nie dobroczynną, uważać go muszę.

Trzeba się przed tem narzędziem ostrem bronić — a najlepiej byłoby odpłacić zamachem podobnym i świat do siebie przystosować. Dzieło takie nie udało się trwale żadnemu dotąd reformatorowi, a cóż mówić o kobiecie, która sama siebie nazywa wykolejoną, a więc z własną naturą dojść ładu nie może. Walka zużyje, wyczerpie, wyciśnie krew i siły, pozostawiając automat z przytępioną wrażliwością, zdolny tylko poruszać się mechanicznie, bez pomysłów, bez inicyatywy.

Pocóż więc walkę rozpoczynać? lepiej z góry zapowiedzieć swoją bezsilność i odnaleść sobie kącik, stanowisko w obec świata i życia, które byłoby przynajmniej — znośnem.

Czy warto się o to ubiegać? Stanowczo tak, życie złe czy dobre jest bardzo ciekawem: wiecznie młode, piękne, ruchliwe, kryje w swem łonie niespodzianki, któremi obdzielić potrafi setki i miliony takich jak moja egzystencyi.

Życie przedstawia mi się niekiedy jak pole walk i zapasów; gdzieś z daleka odzywa się trąbka bojowa, czasem huknie brutalny bęben, ogłaszający zwycięstwo, można tam skakać, pełzać, ale najtrudniej spokojnie chodzić, bo oto na owej ziemi zroszonej krwią, potem i łzami, leżą polegli lub dogorywający słabi, maluczcy, a przedewszystkiem nie przystosowani. Wrzała tu walka o marny, często wyschnięty kawałek chleba, walka o ideały, przekonania, o własną indywidualność — słowem walka o byt w najszerszem znaczeniu tego wyrazu. To nie pojedynek słabych i silnych, z którego silni, a więc lepsi, dzielniejsi wychodzą zwycięsko, podtrzymując rasę, oczyszczając teren z mniej udanych okazów! — Najgorsi nie zawsze giną, a kto wie, czy nie grozi zagłada najlepszym. Pierwsi mają konsekwencyą w złem, śmiałość i chytrość, ostatni zbyt wysoko ponad otoczenie wyrośli, aby z niem wejść w układy. Brutalne życie zaś najczęściej zmiata tych, co mu żadnych koncesyi ze swojego ja czynić nie chcą. Jest to smutny dobór naturalny, sprzyjający czasem łotrom, a zawsze miernotom...

Z poza tego ponurego obrazu uśmiecha się przecież niekiedy inny. Czasem o szarej godzinie, albo w nocy, gdy księżyc ciekawie zagląda przez szpary, wszystko dokoła uśpione, mnie w półśnie, półjawie przedstawia się cudowna szmaragdowa łąka. Snują się po niej jasne smugi światła, lekki wietrzyk porusza źdźbła trawy, a tyle kwiatów przechyla kielichy, że oprzeć się nie mogę pokusie błądzenia po niej z celem czy bez celu, z tem coraz wyraźniejszem życzeniem, aby nigdy nie dojść do końca. Więc choć natrafisz niekiedy na kolący cierń, choć nogę przytrzyma ci grząskie bagno, choć łeb wychyli jadowita żmija, a nieustannie opędzać się trzeba od stada natrętnych komarów, — obejmuję miłosnem spojrzeniem tę przestrzeń szmaragdową, wśród której tyle słonecznych wrażeń doznać można. To życie, odczuwane może po marzycielsku, które dostraja się do natury i w którem subtelna wrażliwość jednostki chwyta wszystkie światła i cienie.

I w jednym i w drugim obrazie jest trochę prawdy. Życie to przedewszystkiem odczuwanie wrażeń; gdy jednostka spojrzy dokoła, dostrzeże walkę, odczuje ją tem silniej, im żywiej w niej weźmie udział; skoro zechce żyć samotną, gdy potrafi z góry, bezinteresownie spoglądać na owe zapasy, zapomnieć o własnem wśród nich stanowisku, dozna przedewszystkiem rozkoszy estetycznych, a te ją nieco z życiem pogodzą. W chwilach trzeźwości przecież, bo i takie przychodzą, widzę, że życie to szachownica. Szczytów wysokich na nich mało, a gdy się jaki pojawi, to mimowoli ludzkość chyli przed nim głowę i nazywa królową, a więc władzcą, geniuszem, któremu wszystko zburzyć i zmienić wolno, dla którego moralność

swego zawodu do tułania się po obcych krajach. Istnieje jeszcze inny ważny symptomat uciążliwości zawierania małżeństw. Zarówno mężczyźni, jak kobiety tworzą stadła małżeńskie w coraz późniejszym wieku. Mężczyźni żenią się w Niemczech później, niż w Anglii, Rosyi i Włoszech. Koło potrzeb ludzkich rozszerza się a stopa życiowa podnosi, tak iż każdy mieszkaniec miasta zwleka dziś jak najdłużej z faktem zaprzęgnięcia się do jarzma małżeńskiego a często nawet odkłada go ad calendas graecas. Czegóż się tu dziwić? Wszak młodemu człowiekowi w wielkiem mieście nie zbywa na niczem. W każdej chwili może on dostać wszystko, czego łaknie dusza i ciało jego. Gdyby nawet potrzebował towarzyszki dla wymiany myśli i duchowego obcowania, to upragnionej Aspazyi dostarczy mu za umiarkowane wynagrodzenie „Heiraths-Zeitung". Podaje się ogłoszenie następującej treści: „Młody człowiek, o takich a takich kwalifikacyach, poszukuje znajomości z kobietą oczytaną, towarzyską, miłą, dowcipną itd." — i wnet nadejdzie ofert co niemiara.

Sprawa ta przedstawia się nieco odmiennie dla młodej, niezamężnej kobiety. To też — jak słusznie zauważa prof. Haushofer — kobieta gotowa jest w każdej chwili porzucić swój zawód, gdy trafia się jej jakaś okazya schronienia pod skrzydła hymenu. Często obiera ona sobie zawód (chociażby bezwiednie) jedynie po to, by utorować sobie drogę do małżeństwa, by stykać się częściej z mężczyznami, poznawać ich i dać się samej poznać. Jestto z pewnością praktyczniej, niż więdnąc w cieplarnianej atmosferze czułej opieki rodzicielskiej, oczekiwać królewicza, który przybędzie w noc księżycową, by porwać znudzoną pannę i uwieźć ją na białym koniu w krainę szczęścia i marzeń. Średnie warstwy pozbyły się już brzydkiego zwyczaju wychowywania kobiet na laleczki salonowe: jestto luksusowy produkt, niemający już zbytu w niemieckich średnich warstwach. „La vie n'est pas un roman" staje się artykułem wiary każdej przeciętnie inteligentnej, niezamożnej lub średniozamożnej panny. Doświadczenie przekonywa ją w dodatku, iż te panny z „Mittelstandu", które nie obrały sobie chlebodajnego zawodu, mają najwięcej widoków na wejście w skład rezerwowej armii staropanieńskiej. Pozbawienie niektórych kobiet tych praw, które przysługują każdej ludzkiej istocie, można byłoby nazwać stanem nienormalnym, gdyby niestety ten porządek rzeczy nie otrzymał już prawa obywatelstwa w zachodniej Europie w ogólności a w Niemczech w szczególności.

Skutki, rozumie się, są bardzo opłakane. Występują one przedewszystkiem na polu gospodarczem. Dla bardzo sporej grupy kobiet jeszcze dziś małżeństwo jest kwestyą życia, jest prawie karyerą. Wszystkie dążności niewiasty, wszystkie jej myśli i uczucia schodzą się w jednym punkcie, jak w ognisku, w którem ukazuje się obraz przyszłego małżonka. Lecz obraz ten staje się często mglistym, przyćmionym; prawdopodobieństwo siwego warkocza rośnie; wtedy jest kobieta zmuszoną wejść w życie i zażądać pracy. Nowoczesny rozwój ekonomiczny z jego misternem rozgałęzieniem podziału pracy otwiera obszerne pole dla pracy kobiecej. A ponieważ bezprawna i bezbronna kobieta, stojąca nieraz sama jedna w życiu, jak kołek w płocie i szukająca jak łaski chleba, sprzedaje swą pracę taniej, niż mężczyzna, to oczywiście w wielu gałęziach musi on ustąpić swego miejsca białogłowie. Życie dla mężczyzny staje się cięższem a małżeństwo staje się dla wielu niedoścignionem marzeniem. To, co było skutkiem, staje się teraz przyczyną: życie zniewala kobiety do przyjmowania udziału w życiu ekonomicznem, to zaś znowu przymyka coraz szczelniej furtkę do małżeństwa. I oto dla wielu wstęp do raju małżeńskiego zostaje wzbronionym, gdyż u wejścia jego staje w postaci warunków ekonomicznych anioł z wyciągniętym mieczem w ręku...

Wprawdzie Haushofer nazywa nasz okres przejściowym: ma to być most, prowadzący nas w epokę zupełnej emancypacyi kobiety. Kiedyś i ona może wyjdzie z dzisiejszej Scylli i Charybdy, z wiru sprzeczności, cechujących nasze życie; może i ona, znajdująca się dziś pomiędzy kowadłem potrzeb swego ducha i ciała a młotem społecznych warunków, stanie się kiedyś wolną istotą. Mężczyźni przez sam egoizm powinni sobie gorąco życzyć możliwie prędkiego nastania tych błogich czasów, gdy kobieta wreszcie przestanie być niewolnicą (w Niemczech pozostała nią po dziś dzień!); wtedy może miłość będzie uboższą w zawody i bogatszą w rozkosze.

Na polu przemysłowem zagarnia kobieta coraz obszerniejsze terytoryum. Czy działalność ta może skazanym na staropanieństwo kobietom zastąpić męża i rodzinę, czy może zaspokoić te gwałtowne uczucia i instynkty, które potrzebują życia familijnego? Gdy zaczynają się buntować uciskane pierwiastki duszy, gdy podnoszą głowę i domagają się swych praw, czy wystarcza dla stłumienia tego rokoszu przywołać legiony tak mało mówiących sercu logicznych argumentów i abstrakcyjnych etycznych postulatów? Wszystkie te kwestye muszą tu pozostać bez odpowiedzi, jakkolwiek wypełniają jedną z najciekawszych kart naszego społecznego życia. Daje się w Niemczech zauważyć, zdaniem Haushofera, jeszcze jedna okoliczność, nakazująca kobiecie celibat.

W ostatnich czasach nieruchliwe i ograniczone Niemki zaczęły się budzić z letargu umysłowego. Kobieta zaś, która się wspięła nieco na wyżyny wiedzy, niechętnie zamieni tę pozycyę na rolę kucharki i służącej. Mogłoby nieco osłodzić gorycz kłopotów gospodyni używanie życia w donioślejszem słowa znaczeniu, lecz takie rozszerzenie skali wymagań zniechęca i odstrasza mężczyzn. Ktoś z obozu kruszących kopie o tradycyę mógłby powiedzieć, iż kobieta, która w rodzinie piastuje godność kucharki i niańki, nie nadając wagi swemu wykształceniu, zasługuje przecież na większy szacunek, niż wysoce wykształcona zwolenniczka celibatu w salonie. Na to odpowiada prof. Haushofer, iż matka rodziny nie powinna bynajmniej dostąpić większych zaszczytów, niż kobieta, która nie miała szczęścia pozostać czyjąś małżonką. Społeczeństwo posiada dzieci, Bogu dzięki, dosyć; płodzenie dzieci w naszych czasach nie jest żadną zasługą. Musimy się przyzwyczaić do tej myśli, iż pomiędzy mężczyzną a kobietą wytwarza się trzecia płeć, pracujących starych panien.

„Stara panna jest to istota — mówi Haushofer — która z rezygnacyą podejmuje swe zadanie życiowe, przejęta świadomością, iż oczekuje ją więcej obowiązków, niż radości i że samotność po wieloletniej ciężkiej pracy będzie zakończeniem jej żywota". Społeczeństwo powinno czcić jej odwagę i samopoświęcenie. Zamężne zaś kobiety niech przestaną przy spotkaniu z temi upośledzonemi istotami zadzierać głowę do góry! Opinia publiczna, która wiele zgrzeszyła przeciwko tym nieszczęśliwym kobietom, powinna stać się wreszcie sprawiedliwszą i nie odmawiać niezamężnej kobiecie prawa do miłości. „Wszak jest to oburzające okrucieństwo żądać, by kobieta, która do 30-go roku życia nie mogła wstąpić w związek małżeński, nie spaliła na ołtarzu miłości ani jednej ofiary!"

Cała książeczka profesora tchnie wielkim optymizmem i przejęta jest współczuciem dla traktowanych po macoszemu przez społeczeństwo kapłanek celibatu. Zmiany nawet w naszem postępowaniu nie złagodzą w drobnej części jej moralnych i po części fizycznych katuszy; nic nie wróci jej zmarnowanych mło-

---

i jej przepisy nie istnieją. Dokoła tych rzadkich a tak niebezpiecznych wyniosłości występują naprzemian pagórki i zagłębienia, gdzieniegdzie bije ożywczy strumień, a raczej mało gdzie strumienia takiego nie ma, trzeba tylko uderzyć w skałę, aby wytrysnął. Kto nie umie znaleść zaczarowanej laski, ten go nie wywoła, kto nie potrafi patrzeć, zginie dlań całe bogactwo barw i cała piękność krajobrazów.

W takich chwilach, gdy oczu nie zasłania żadne złudzenie, gdy fala krwi, napływająca do mózgu nie mąci jasności spojrzenia, w chwilach szczęśliwych, bo spokojnych, myślę nad tem, jakie stanowisko zająć w obec świata i ludzi. Nie chodzi o to, jakie zajmuję lub zajmować będę w istocie. bo zapominać nie trzeba, że panem tu wszechwładny przypadek, ale jakie zająćbym chciała, które z możliwych właściwie jest m o j e m stanowiskiem, a więc wypływa z zasadniczych instynktów mojej istoty.

Kobiety występują najczęściej w postaci życiowych działaczów albo — ofiar.

Działalność ta nie potrzebuje być szeroką, społeczną, głośną, jest to poprostu krzątanie się mrówki, która czynny udział wziąć musi w tem, co się dzieje w mrowisku. Po większej części to je zadawalnia, choć terytoyum ciasne, choć ścierają się na niem tysiączne egoizmy, choć ich własny, osobisty lub familijny egoizm przybrać przytem musi kanty i rozrosnąć się tak, by poza nim na szersze uczucia i myśli nie pozostało już wcale miejsca.

Gdy ziarnko grochu, rzucone przez jednostkę w życiowej rulecie, nie trafi na punkt właściwy, gdy czują się niezrozumiane, nieocenione, gdy wiec muszą życie bez współczucia i wyrzec się ram właściwych, wtedy pozostaje druga rola — ofiary. Wówczas do ust ich przyrasta bolesny uśmiech, na czole osiada smutek i rezygnacya, a cała postać, całe ja cofa się w głąb i usuwa w cień.

Takie ofiary spotykamy na wszelkich stanowiskach życiowych. Są niemi stare lub starzejące się panny, które los nielitościwy wykluczył ze wspólnego większości kobiet zadania żony i matki, są wdowy, opłakujące po lat 15 i 20 zgon małżonka, który stanowił właściwie o racyi ich bytu w społeczeństwie, są wreszcie i mężatki, które w małżeństwie nie znalazły tego, czego szukały, a nie potrafią pogodzić się z tem, co stanowisko zajmowane dać im może.

Rola czynna — to nie moje miejsce; umiem pracować, umiem się ruszać, działać, zelektryzować czasem całe otoczenie, ale wejść w raz określoną kolej i wcale już z niej nie zbaczać, — ale borykać się codziennie z drobnemi przykrościami, powtarzać wciąż te same ruchy i słowa w tym tylko celu, aby to mrowisko wyglądało tak, jakbym je miec pragnęła... czyż to zadanie dla wykolejonej? Ona nie jest taką, jakby być powinna, ale jest kimś i zapomnieć o tem swojem ja, aby stwarzać drobiazgi, kręcić się jak kółko maszyny — nie potrafi.

Może to źle, ale inaczej być nie może! Przed rolą ofiary wzdryga się cała moja natura. Nie jest mi na świecie dobrze; może nawet więcej przykrych niż przyjemnych doznaję wrażeń, ale być ofiarą, a więc i czuć się ofiarą i na nią wyglądać,... nie! Potrzebaby tu pozy, a więc czegoś, co jest sztuczne i patetyczne. Nie znam nic śmieszniejszego nad zakrzepłą patetyczność! Wszak jestem kawałkiem natury, czuję w każdym nerwie moją przynależność do tej wielkiej całości, która mnie otacza. Taki ciągły ruch, zmiany, życie, a ja miałabym skostnieć w pewnej postaci! I dla czego? czy dla tego, że natura uczyniła mnie odrębną od innych, czy że świat takim być nie chce, jakim jabym go widzieć pragnęła? Ha, to jeszcze pytanie, kto ma racyę, on, czy ja?...

Pozostaje przecież jeszcze jedno miejsce turysty i — badacza, który podobne do pierwszego zajmuje stanowisko, ale wrażenia zbiera, — nietyle dla nasycenia się niemi, ile dla wyprowadzenia wniosków ogólnych. Nie gorszy to, choć może przez społeczny prąd naszego wieku potępiony kąt widzenia.

Turysta w życiu?... To duch niespokojny i ciekawy, trawiony właściwą nowoczesnemu człowiekowi gorączką poznania. Przerzuca się on z kraju do kraju, zwiedza coraz nowe miasta, obracać się pragnie w coraz innych kołach, poznawać nowych ludzi, nowe prądy, zaznajamiać z pomnikami sztuki, z zabytkami czasów dawnych, z wartkiem życiem umysłowem współczesnych. A więc to jakieś połączenie

dych lat, spędzonych w ciągłych troskach i w oczekiwaniu „jego"; nic nie wyjmie jej piołunu z serca i nie wyleczy jej ran.

Spór o Morskie Oko.

(Dokończenie.)

W czasie, kiedy Stefan Batory nadawał sołtysom przywilej do obszaru na Białce, który należał do Polski, o pewne terytorya takowego za Białką toczył się spór między właścicielami węgierskiej wsi Uj-Bela a właścicielem Niedzicy, którym byli naonczas (1528—1589) Hieronim i syn jego Olbracht Łaski. Jak wiadomo, Łascy otrzymali od Jana Zapolyi dobra Spiskie na Węgrzech, ale z powodu swej rozrzutności i trudności administrowania, nie mogąc się przy nich utrzymać, odstąpili takowe (1589) magnatowi węgierskiemu, Jerzemu Horwathowi de Palocsa, protoplaście rodu Polohayów, dzierżącego te ziemie do połowy wieku bieżącego, Nowonabywca, korzystając z uroszczeń właścicieli Niedzicy w czasie zajęcia Spiżu przez wojska Maksymiliana, śpieszącego z objęciem tronu do Krakowa, zagarnął sporne parcele i tym sposobem szeregiem samowoli dał początek niezliczonej liczbie skarg i procesów. Nie możemy tutaj wdawać się w obciążające pamięć szczegóły długich zatargów, powiemy tylko tyle, iż prywatny zabór Palocsayów, zmusił oba państwa do przedsięwzięcia środków zaradczych, ku czemu obu rządom odpowiednią wydawała się komisya graniczna; na nieszczęście, począwszy od 1625 r. kilkakrotnie zjeżdżała komisya polska, ale panowie madziarscy umieli jej unikać i tym sposobem wszelkie środki przedsięwzięte do sprostowania granicy udaremnione zostały. Niemniej jednak, jak są ślady, musiano wynaleźć jakieś modus vivendi między stronami prywatnemi i nastąpiło to przez rozseparowanie gruntów po tamtej stronie Białki do właścicieli węgierskich a po tej do polskich. Takim sposobem Białka uznaną została (lubo prywatnie) za rodzaj granicy, co zdają się potwierdzać późniejsze przywileje królów, nadające ziemie i pastwiska poddanym polskim. Tak n. p. przechował się do dziś dnia w rękach sołtysów z Białki przywilej Władysława IV. z 20 czerwca 1637 r., nadający Wojciechowi Nowobilskiemu prawo pasania bydła przy obszarze Rybiego Stawu, to jest na przyległej doń hali. Jest to niemały dowód, iż ów Rybi Staw (inaczej Polski Staw, od XVII. wieku Morskie Oko) leżał w granicach państwa a w osiemnastym wieku rozsławiony został przez geografów i coraz liczniejszych podróżników. Rzączyński, pisząc w 1721 r., wspomina o nim bardzo szczegółowo, jako o jednym z cudów przyrody a toż samo z wielkiemi szczegółami czyni ks. B. Chmielowski; . tymczasem Csiba, Beliusz, Bruchmann, wszyscy piszący przed 1740 rokiem autorzy węgierscy i bardzo szczegółowo opisujący góry swego kraju a głównie komitatu Spiskiego nic o Rybim ani Polskim Stawie, ani Morskiem Oku nie wspominają; widocznie uważali je jako po za granicami Węgier leżące; tylko jeden Jakób Buchholtz z Keszmarku w opisie Karpat 1751 roku wymienia „grosser polnischer Fischsee", jako przeciwstawienie węgierskiego Rybiego Stawu, zkąd wypływa Poprad i zwanego też Popradzkim.

To też mimo nieustalenia granicy przez władze polityczne, mimo cząstkowego tylko zagadnienia wynikłych sporów sąsiedzkich, do końca niemal zeszłego wieku nie istniał wcale spór o Morskie Oko. Dr. Czołowski bardzo skrupulatnie zestawia dowody już to dodatnie, czyli bezpośrednie, już pośrednie na to, iż do 1769 nikt się po stronie węgierskiej, ani polskiej nie zajmował temi okolicami a mieszkańcy bezspornie i bez przeszkody wykonywali swoje prawa tak ekonomiczne jak i polityczne. Tak np. w 1755 r. doszedł do skutku jeden z bardzo niewielu zjazdów granicznych skutkiem osobistego żądania Maryi Józefy, stryjecznej siostry cesarzowej Maryi Teresy; tej komisyi, która również niedoprowadziła do żadnych pozytywnych rezultatów, przedstawionym został ze strony węgierskiej całkowity wykaz pretensyi o naruszenie granic węgierskich ze strony polskiej — ale w spisie tym nie ma żadnej wzmianki o Morskiem Oku i obszarach dziś w sporze będących, mimo, iż nie pominięto tam daleko mniejszych kompleksów. Słusznie więc utrzymuje dr. Czołowski, iż spór o Morskie Oko nie istniał przed 1772 rokiem, że obecnej granicy nikt nie kwestyonował, gdyż sięgała ona dalej w Węgry, jeżeli nie uznana, to na mocy miejscowych zwyczajów i praw wykonywanych bezspornie.

Zkądże więc — raz jeszcze trzeba zapytać — powstał Spór o Morskie Oko? Na to odpowiada autor kategorycznie z dowodami w ręku. W 1769 r. wzdłuż całej granicy polskiej, Mołdawii i Multan, ustawiła Austrya kordon wojskowy, celem niedopuszczenia na swe terytoryum oddziałów stron walczących, oraz morowej zarazy, grasującej na podgórzu karpackiem. Dowódcom wojsk cesarskich zalecono „najściślejszą neutralność", dla usunięcia zaś wszelkiej wątpliwości co do kierunku strzeżonej granicy, postanowiono w miejscach wątpliwych takową „zregulować" i oznaczyć znakami, to jest orłami cesarskiemi z herbem węgierskim na piersiach. Dla wykonania tej funkcyi wyznaczono specyalnych komisarzy, opatrzonych w specyalne instrukcye. Jednym z takich urzędników przy korpusie generała Esterhazy'ego, zajmującym granicę nad Spiżem, był pułkownik kwatermistrzostwa bar. Seeger a jego pomocnikiem radca Józef Töröka de Szöndrö. Obaj ci panowie gorliwie się wzięli do rzeczy, a gdy pułkownik „regulował" karty, radca przeglądał archiwa, celem wynalezienia dokumentów, mogących poprzeć ową „regulacyę". Skutkiem wysilonej pracy udało się im w październiku 1769 r. wysłać do Wiednia raport a przy nim karty i dowody (!), na mocy których wywnioskowano, iż komitaty Spiski i Orawski kiedyś stykały się bezpośrednio z sobą, cała więc Nowotarszczyzna i znaczna część Sądeczczyzny jest awulsem od Węgier, których właściwą granicę powinna tworzyć linia Beskidu od Babiej Góry w kierunku głównego łańcucha. Niepodobna nam tutaj wchodzić w drobne szczegóły terytoryalne, które tylko z dobremi kartami i planami, przy nader aktualnym ich opisie, mogą być zrozumiane, powiemy więc ogólnie, iż obaj austryaccy urzędnicy, samowolnie, nie pytając się nikogo i nie radząc się nikogo w tej okolicy o granicę idącą po Białce do Białej Wody, przesunęli ją do potoku, wypływającego z Rybiego Stawu. Nie była ta dowolność pojedyńczym faktem, w wielu innych miejscach zrobiono toż samo, wywołując długie lata toczące się spory, ale dla naszego przedmiotu wystarczy zaznaczony wyżej wypadek. Lecz co najzabawniejsze — gdyby tu mogło być co zabawnego — to, że opinie Töröka, dotyczące przynależytości tych okolic do Węgier, w niespełna rok doznały właściwego ocenienia ze strony władz wiedeńskich. Skoro bowiem w 1770 r. wojska austryackie zajęły Spiż, przesunięto graniczne orły austryackie na linię Beskidu i tym sposobem znaczna część Sandeczyzny znalazła się w rękach Austryi. W dwa lata później pod berło Austryackie dostała się cała Galicya i wtedy powstało pytanie, co zrobić z ową częścią zajętą w 1770 r., czy ją wcielić do Węgier na mocy rzekomych dokumentów Törökowych — czy przywrócić dawną granicę a Sandeczyznę wcielić do Galicyi? Ani chwili nie wahano się w Wiedniu i postąpiono jak wskazywała druga z powyższych alternatyw,

---

typu owego inteligentnego widza, który z niezmąconym spokojem przypatruje się wszystkiemu, co nowe dlań a przez innych podziwiane, podkreślając w Baedekerze co już widział, i owego myśliciela, który milczy, aby lepiej obserwować, aby spostrzeżenia dostarczyły mu materyału do samodzielnego na świat poglądu.

Charakterystyczna cecha turysty w podróżach jak i w życiu, to brak określonego z góry działania: przygląda się wszystkiemu, co napotka, ale czynny udział w otaczającym go życiowym wirze nie wchodzi w zakres obowiązków, które uznaje... Pozostać przez całe życie turystą — trudno! wraz z uzdolnieniem, z przekonaniem, że można dać od siebie coś światu, pojawia się niekiedy i chęć do czynu. Ale czyn niekoniecznie wywołany zostaje przez wrażenie zewnętrzne; płynie on raczej z uzdolnień i upodobań działającego.

Społecznicy p a r e x c e l l e n c e orzekną może, że taki człowiek w społeczeństwie tak ubogiem, tak ciemnem jak nasze — to zbytek, co więcej, to element rozkładowy, który sam usuwa się od kadrów, a w dodatku demoralizuje innych. Może to i prawda. Armia, postępująca naprzód zwartym szeregiem, dzikich nie toleruje, społeczeństwo d z i s i a j s z e składaćby się z nich nie mogło. Ale społeczeństwo, które nie jest tłumem bezmyślnym, ulegającym ślepo wskazówkom przewodników, armią być nie potrzebuje; składa się ono z jednostek, które według siebie stosunek swój do świata normować muszą.

Czy doprawdy można tu już użyć czasu teraźniejszego, czy nie jest to raczej „muzyką przyszłości?" Sądzę, że jest tu tylko stopniowanie; społeczeństwa dzisiejsze zbyt jeszcze mało posiadają indywidualności, abyśmy inaczej jak przez poczucie obowiązku trafić do nich mogli.

Są przecież wśród nich jednostki, których niepodobna zaprządz do tego wspólnego wozu, a pojawienie się ich, wnosząc pierwiastek nowy, jest objawem raczej dodatnim. — Turyści życiowi mają przeto prawo istnienia...

Kobiety w ogóle nie rozumieją podobnego kąta widzenia; jest on dla nich zbyt martwym, ich żywej wrażliwości, ulegającej głównie impulsom bezpośrednim, nie dość konkretnym. Przytem — to rola wymagająca zwykle znacznego indywidualizmu. Płeć niewieścią w ogóle nie stać na nią dzisiaj.

Nie jest to różnica zasadnicza, coś rzucającego światło na odrębność duszy niewieściej w ogóle, — bynajmniej; to poprostu kierunek myśli i chęci, daleki od dzisiejszego wychowania i rozwoju umysłowego kobiety. Najlepszy dowód, że jednostki drogę tę obierają, że Ludwika Ackerman n. p., jeden z najgłębszych umysłów niewieścich współczesnych, stała istotnie na stanowisku odległego obserwatora życiowego nie przez brak sympatyi czy woli, lecz wprost przez tendencyą swego refleksyjnego umysłu, który najlepiej czuł się w tej roli. Kto wie nawet, czy słabsza fizycznie natura kobiety nie nadawałaby się do stanowiska obserwatora więcej od męzkiej, o ile wybitna zdolność czy talent nie pociągnęłyby jej w pewnym kierunku.

Zresztą obserwacya życiowa i bezczynność to dwa całkiem różne pojęcia. Można być bardzo skrzętnym, bardzo gorliwym pracownikiem, a obok tego zachować spokój i bezstronność tego, który pragnie przedewszystkiem widzieć i wiedzieć. Wprowadza to człowieka na wyżyny niedostępne tym, co czynnie do wszystkiego chcą ręki przykładać...

Od turysty życiowego do badacza, do filozofa, który z tych badań daleko idące wyprowadza wnioski tylko krok jeden. Nauka weszła już dziś na tyle w krew lepszych, a więc myślących i wykształconych ludzi, że są natury, którym inaczej na świat patrzeć niepodobna. Jak Konrad w improwizacyi swej pragnął, aby na co spojrzy pogardzona przezeń kobieta zamieniało się w złoto, tak myślicielom owym wszystko, na co spojrzą, zamienia się w teoryę, w przestanki dla wniosków ogólnych. Dziś stanowią oni znikającą mniejszość, ale z czasem, gdy ich będzie więcej, co za bogate umysłowe życie, skoro i to, co prozą dnia nazywamy, wciągnąć doń potrafią.

Niewygodni towarzysze, powie niejeden. Nie tyle przecież, jakby się zdawało. Bez drobnowidza i skalpelu niepodobna się im

lecz wtedy zaprotestowali Węgrzy w Peszcie a właściciele węgierscy na granicy, którym linia demarkacyjna Töröka przyznała wszystkie pretensye, jakie kiedykolwiek rościli do awulsów z drugiej strony granicy leżących a co do których — sprawy albo pokończonemi, albo przedawnionemi były. Wynikły więc na całem pograniczu spory a najliczniejsze od strony komitatu Spiskiego i Orawskiego, gdzie arbitralne postępowanie Seegera i Töröka, największej zmian poczyniło. Władze zasypane zostały podaniami i skargami a wśród ogólnego rozjątrzenia 1774 r. doszło do wzajemnych między ludnością graniczną mordów. Wysłano więc w 1775 roku specyalną komisyę, która rozgraniczenie między Sandecczyzną a Węgrami uskuteczniła i dla swych prac potwierdzenie cesarkie uzyskała. Nie tak łatwo atoli poszła regulacya granicy od komitatu Spiskiego, komisye pełzły za komisyami, gdyż pretensye węgierskie, podsycane ich narodowym uporem, stawiały nieprzezwyciężone przeszkody zgodnemu uregulowaniu spraw granicznych. W 1793 roku np. w komisyi Węgrzy zażądali, aby granicę przesunięto według propozycyi Töröka, czyli aby 47 mil kw. z 130,000 ludności najbezpodstawniej wcielono do Węgier. Wobec takiego obrotu rzeczy, który się zresztą ponawiał i w następnych komisyach zwoływanych przez rząd, postanowiono jako modus vivendi — utrzymanie prowizorycznej granicy a tymczasem obie strony gromadziły materyały do obrony swej sprawy.

Ale to wszystko nie tłumaczy jeszcze genezy sporu o Morskie Oko; dotychczasowe opowiadanie nasze przedstawia stosunki, tło, na którem dopiero wyodrębnił się proces, zajmujący obecnie tak żywo opinię publiczną. Obecne terytoryum sporne, którego topografię nakreśliliśmy na wstępie niniejszego artykułu, nie było nigdzie wspominane jako sporne, ani w aktach historycznych, ani urzędowych. Po raz pierwszy dopiero wyszło ono na jaw w 1811—1813 roku a to z następującego powodu: rząd austryacki, wyczerpany wojnami napoleońskiemi, w roku powyższym postanowił sprzedać wszystkie dobra koronne w Galicyi i w tym celu ustanowił komisye szacunkowe; na podstawie wypracowań tychże, zarządzono sprzedaże. Otóż przy pomiarach topograficznych Nowotarszczyzny, gdy przyszła kolej na gminę Bukowiny, wykazano terytoryum 796 morgów z prętami jako „kontrowers“, zakwestyonowany przez węgierskie dominium prywatne Frydman. Kontrowers ten obejmował las świerkowy Rosteka (211 m.), pastwiska (hale boru), skały Żabie nad Rybim Stawem (459), połowę Morskiego Oka (28 m.), cały Czarny Staw. Kontrowers ten nie przestał jednak należeć faktycznie za własność kamery nowotarskiej i gdy w roku 1824 tę część dóbr nabył na publicznej licytacyi Emanuel Homolacz, wprowadzono go także w posiadanie owej przestrzeni. Wprawdzie przy spisywaniu aktu, pełnomocnik bar. Polohayów, złożył zeznanie na swą korzyść, ale nie wpłynęło to na czynne użytkowanie tak z lasu Rostoka, jak i z pastwisk Żabie, gdzie sołtysi bilczańscy, na mocy przywileju Władysława IV. wypasali swe bydło wspólnie z powstałem następnie dominium Zakopane. Dopiero w 1831 roku, leśniczy, niejaki Franciszek Sochor, objąwszy służbę u Polohayów w Frydmanie, chcąc się przypodobać nowym chlebodawcom a zemścić na dawnych swych panach Homolaczach, począł stawiać czynny opór przeciw używalności lasów Rostoka i pastwiska na Żabiem. Rozumie się, spowodowało to zobopólne skargi w sądach galicyjskich i węgierskich, wskutek czego, wysyłano rozmaitemi czasy komisye, które miały na gruncie pretensye obu stron zbadać i dostarczyć materyału władzom i sądom do ostatecznego zadecydowania sprawy. Komisye te nie mogły nigdy nic pozytywnego zdziałać, gdyż strona węgierska nie chciała uznać dowodów przeciwnika, swoich własnych nie przedkładała, lub też zsyłała się na dowody niedostateczne, a wogóle, przyciśnięta do muru, chroniła się za kwestyę polityczną granicy kraju, co do której nie miała decydować prawa. Tymczasem na teatrze sporu zachodziły faktyczne a konieczne z biegiem czasu zmiany. Polohaye w męzkiej linii wymarli, ich sukcesorowie zawarli dla „sąsiedzkiej zgody“ układ z Homolaczami o las na Rostoce, mocą którego, drzewo zostało własnością ostatnich a grunta przeszły na własność pierwszych, którzy następnie w r. 1879, całe dobra zbyli Prusakowi, ks. Krystyanowi Hohenlohe-Oeringen. I Zakopane przeszło również z rąk Homolaczów na własność berlińskiego barona Eichorna a następnie 1889 r. w ręce hr. Władysława Zamoyskiego. Godnem jest zaznaczenia, iż żadna z komisyi, przy zmianach właścicieli, nie mogła dojść do stałego porozumienia i pogodzenia praw posiadaczy prywatnych z polityczną granicą kraju; niedokończone jednak obrady każdej komisyi nie zwracały zbyt wielkiej uwagi w obu krajach i społeczeństwach sąsiednich — na kwestę sporną. Dopiero komisya w sierpniu 1883 roku, która podporządkowała pretensye prywatne interesowi uregulowania granicy kraju, zwróciła na siebie oczy wszystkich. Stało się to, dzięki udziałowi delegata Wydziału krajowego, p. Edmunda Mochnackiego, który odnośny raport złożył sejmowi we Lwowie i tym sposobem środek ciężkości całej sprawy przeniósł na grunt ogólny. Uwagę podsycała jeszcze ta okoliczność, iż Prusak ks. Hohenlohe, opierając się na pretensyach węgierskich, jako właściciel Frydmana, zabronił bilczanom pastwisk, przewozu na Morskiem Oku, dostępu turystom do zbudowanego przy temże schronisku Staszica, czem jątrzył ludność miejscową i sąsiedzką. Cały szereg gwałtów Hohenlohego pod egidą żandarmeryi węgierskiej, dolewał oliwy do ognia, tak iż zarówno w Galicyi jak i na Węgrzech, ze sprawy lokalnej, spór o Morskie Oko przerodził się w sprawę powszechną. Madziarski minister Hieronymii, w jednym ze swoich reskryptów oświadczył, iż „stosownie do faktycznego (?!) posiadania tegoż terytoryum, państwo węgierskie wykonywuje nad takowem wszelkie prawa panującemu przynależne i że tych praw nie może na razie i w ogólności nikt inny wykonywać, jak tylko państwo węgierskie“. Z drugiej strony, sejm galicyjski, po licznych uchwałach, 1883 roku wyznaczył deputacyę pod przewodnictwem marszałka do cesarza Franciszka Józefa, celem upraszania go o rozstrzygnięcie kwestyi. Jak sprawa rozsądzoną zostanie — niepodobna przewidzieć, byłoby jednak pożałowania godnem, aby dla fantazyi madziarskich, popierających Prusaka, złamano odwieczną granicę wierzchołkami gór idącą i przepołowiono wody jeziora, które opinia za niepodzielną własność uważać przywykła.

P. T.

---

zbliżyć do człowieka, faktu, nawet do samego siebie, ale badanie przeprowadzają całkiem bezinteresownie. Badają, poznają nie dla tego, aby stąd ciągnąć korzyści, aby chwytać na uczynku pana X lub panią N, nie, ale dla tego, że ich fakt albo osoba interesuje jako zjawisko życiowe.

Moje lepsze, konsekwentniejsze, moje umysłowe ja ku takiemu stanowisku w życiu mimowolnie się wyrywa. Dziś, gdy przeszedł okres burzliwej młodości i namiętnego odczuwania wrażeń subjektywnych, pozostała ta najsilniejsza, a może i ostatnia namiętność poznania. Zaciekawia mnie nie pewna kategorya faktów, ale wszystko, co tylko żyje, i dla tego, że żyje. Niech więc życie pozwala pełną ręką czerpać ze swojej skarbnicy, niech odkrywa coraz nowe, coraz głębsze swe tajniki! Że przytem zadraśnięte nieraz będą moje uczucia, że niejedna struna w sercu boleśnie zadźwięczy, że przyjdzie nieraz powstrzymać odruch, który mimowoli w postaci słowa, czynu, wybuchu ciśnie się na zewnątrz, — to mniejsza.

I cóż stać się może? — chyba, że więcej jeszcze będę wykolejoną niż dzisiaj... Czy jednak równowaga i norma są ideałami?

Jaskółka.

KRONIKA GALICYJSKA.

(Zjazd pedagogów, sprawa wychowania narodowego. — Historya polska w gimnazyach galicyjskich. — Zakaz obchodów. — Jubileusz Zacharjasiewicza. — Modrzejewska. — Opera. — Agonia koalicyi.)

W poprzedniej kronice zanotowałem tylko kilku słowami, że odbył się w Krakowie zjazd doroczny Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych. Wzmiankę tą należy uzupełnić, gdyż poruszono parę spraw pierwszorzędnego i nietylko galicyjskiego znaczenia.

Sporą dyskusyę wywołał referat prof. Krotowskiego o przeciążeniu w gimnazyach. W Galicyi przeciążenie to więcej daje się odczuwać aniżeli gdzieindziej, gdyż plan naukowy gimnazyów galicyjskich jest rozszerzony dwoma nowemi przedmiotami. Prowadzi to za sobą zaniedbanie fizyczne, a nawet moralne, gdyż młodzież, nie mogąc zadość uczynić wymaganiom, ucieka się do środków i środeczków. Bardzo słusznie zwracał referent uwagę na dziwny sposób traktowania spraw oświaty. Sens jego uwag był taki: nad kodeksami radzą najtęższe głowy prawnicze, nad sprawami handlowemi kupcy i przemysłowcy, tylko nad planami naukowemi zastanawiają się ludzie, którzy żadnej praktyki, a często i świadomości rzeczy nie mają. Inspektorów, dyrektorów i nauczycieli gimnazyalnych nikt się o nic nie pyta — sprawami oświaty rządzą teoretycy ministeryalni. Nie powiedział pan Krotowski, bo mu nie wypadało, że ministrem oświaty w Austryi jest były notaryusz, znawca wyborny ale... prawa cywilnego, a na czele oświaty w Galicyi stoi także były profesor prawa. Referat p. Krotowskiego nie podobał się członkom Rady szkolnej, hr. Stanisławowi Tarnowskiemu i dr. Germanowi, oraz profesorowi wydziału prawa dr. Kasparkowi, ale podobał się snać ludziom kompetentnym, bo zgromadzeni nauczyciele olbrzymią większością uchwalili wyrazić opinię, że należy w pewnych przedmiotach ograniczyć materyał naukowy i w sprawach oświaty pytać się o radę tych, co zawodowo na jej polu pracują.

Jeszcze ważniejszem było podniesienie sprawy wychowania młodzieży w duchu narodowym. Referent dr. Karbowiak powołał się na komisyę edukacyjną, która wyraźnie polecała wychowanie człowieka i obywatela. Ztąd też przedmioty takie jak polski język, literatura i historya powinny być wykładane przez najdzielniejszych pedagogów. Prócz tego należy pracować nad poznaniem pedagogii narodowej, a ku temu powinny służyć: a) głębsze badania dziejów wychowania i szkół w Polsce, b) wydanie pedagogii, uwzględniającej potrzeby narodowej edukacyi młodzieży polskiej. W tym celu oprócz zbierania źródeł i materyałów do historyi szkół polskich i napisania pedagogii narodowej, potrzeba postarać się o założenie muzeum polskiego pedagogicznego, obejmującego wszystko, co się do szkół polskich odnosi.

Należy żałować, iż nikt ze zgromadzonych, kiedy była mowa o wychowaniu narodowem, nie wspomniał o rzeczy najważniejszej, a mianowicie o karygodnem lekceważeniu wykładu historyi polskiej. Blagujemy przed światem, a często i Niemcy blagę tę powtarzają, że rządzimy Austryą, a tymczasem nie doprowadziliśmy nawet do tego, aby wykład historyi polskiej był obowiązkowym. W gimnazyach naszych uczą tak zwanej historyi kraju rodzinnego i to z podręczników tak suchych i tak lojalnych, że aż wstręt bierze je przeglądać. Przed laty pięciu podniosłem tę sprawę i zakończyłem mój artykuł słowami: „Gdybym należał do tych, których słowa mają posłuch u góry, powiedziałbym gdzie należy: zrzekamy się wszystkich eksdencyi, nie żądamy ani jednego nowego hrabiego lub szlachcica, niech ordery pomijają Galicyę zupełnie, niech Verwaltungsrathami będą sami Niemcy, niech nie odwiedza nas żaden minister ani szef sekcyjny, niech źródło tych łask całkiem wyschnie — a pozwólcie młodzieży naszej uczyć się obowiązkowo historyi Polski, pozwólcie ją wykładać tak, aby stała się nauką patryotyzmu. Na tym patryotyzmie źle nie wyjdziecie, bo

młodzież nauczy się być wam wdzięczną za uszanowanie przez was praw narodowych, które znajdą wyraz wybitny w samym fakcie odpowiedniego wykładu dziejów ojczystych...“

Artykuł ten mój (przepraszam, że się chwalę) zrobił nieco wrażenia, czego najlepszym dowodem było, że umieszczono skierowany przeciw niemu złośliwy artykulik w „Czasie“, pióra jednego z członków Rady szkolnej. Ponieważ niezwykłem być dłużnym w odpowiedzi, przeto nieznanemu mi wówczas jeszcze z nazwiska autorowi sprawiłem dotkliwą łaźnię w wychodzącym wówczas „Kuryerze“. Dla charakterystyki naszych stosunków dodaję, że niedługo potem zemszczono się na mnie... finansowo. Szczegółów nie podaję, bo nie chcę podnosić zasłony z tej naszej... uczciwej walki na polu przekonań.

Charakterystycznem jest to, iż zapatrywania moje na historyę polską podzielają nawet członkowie Rady szkolnej krajowej, ale dopiero wtedy, kiedy już są na... emeryturze. Świeżo p. Bronisław Trzaskowski, emerytowany niedawno członek Rady szkolnej, wydał bardzo dobre „Szkice pedagogiczne“ (Lwów, 1895), a w nich, w artykule o wychowaniu młodzieży w duchu narodowym, podnosząc ogromną ważność nauki dziejów ojczystych, pisze te słowa: „Wielką boleścią napawa serce każdego patryoty to, że w szkołach naszych średnich nie zaprowadzono dotąd historyi ojczystej jako odrębnego obowiązkowego przedmiotu, lecz tylko pod wstydliwą nazwą historyi kraju rodzinnego dano jej, jako przedmiotowi nadobowiązkowemu, jaki taki przytułek... Zdaje mi się, że ci, do których to należy, nie dość stanowczo i wytrwale domagali się u rządu nadania nauce dziejów ojczystych tego stanowiska w systemie nauk szkolnych, jakie się jej, już ze względów pedagogicznych, koniecznie należy“ (str. 46).

W tymże samym artykule tenże sam były radzca szkolny mówi o potrzebie obchodzenia przez młodzież wielkich wypadków narodowych, radzi tylko, aby te obchody odbywały się g o d n i e i p o w a ż n i e. Jako illustracyę do tych słów podaję fakt świeżo zaszły w Krakowie. Oto młodzież VII klasy jednego z gimnazyów pragnęła w rocznicę bitwy pod Szczekocinami zamówić o godzinie 7-mej rano, a więc przed szkołą, nabożeństwo w kościele OO. Pijarów. Dyrektor, dowiedziawszy się o tem, wezwał inicyatorów i zagroził wypędzeniem ze szkół wszystkim uczniom, którzy w nabożeństwie udział wezmą. A zdaje się przecież, że trudno g o d n i e j i p o w a ż n i e j obchodzić rocznicę bitwy, jak nabożeństwem za dusze poległych. Zdaje się, że zakaz owego dyrektora nie wypłynął z jego własnej inicyatywy, mówiono mi bowiem o tajnym okólniku Rady szkolnej, który dozwala młodzieży obchodzić jedynie dzień śmierci Mickiewicza i nie pamiętam już, którą drugą rocznicę. Jaka to szkoda, że obecni członkowie Rady szkolnej nie są już jej byłymi członkami — może wszyscy inaczej zapatrywaliby się na wykład historyi polskiej i na obchody rocznic narodowych. Jaka to szkoda, że spraw tego rodzaju nie poruszył zjazd Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych! A może i lepiej, bo nużby się Austrya rozpadła, gdyby historyę polską odpowiednio w szkołach galicyjskich wykładano. Czuję, jak skóra ścierpnie naszym wielkim politykom, wyznawcom trzech lojalności, jeżeli któremu z nich wpadnie moja kronika do ręki.

Pogadajmy o rzeczach weselszych.

Jubileusz Zacharjasiewicza odbył się we Lwowie stosunkowo świetnie. Wręczono jubilatowi upominki, dziękowano mu serdecznie za pracę na niwie literatury. W bankiecie urządzonym w kasynie miejskim wzięło udział 200 osób; przemawiali: prezydent miasta Mochnacki, Krechowiecki, poseł Romanowicz i t. d. Karol Brzozowski wierszem uczcił autora „Świętego Jura“. Nadeszło około stu telegramów. „Koło literackie“ zaledwie mogło w swych salonach pomieścić uczestników rautu, danego nazajutrz na cześć jubilata.

W Krakowie „Koło artystyczno-literackie“ chciało uczcić Modrzejewską jako artystkę i jako obywatelkę, ze względu na wydany jej przez rząd rosyjski nakaz wyjazdu z Warszawy. Ale zebrało się zaledwie 30 osób, pomimo, że udział był dozwolony i niecz̓łonkom i płci pięknej. Nikogo z „jasnych panów“ na tem przyjęciu nie było, a przecież tak niedawno, za poprzednim pobytem artystki, oddawali jej owacyjne hołdy. Czyżby w opinii ich zaszkodziła sobie, że nie umiała pogodzić trzech lojalności? Porównajcie to z wyjątkowo hucznemi zabawami naszej arystokracyi podczas ubiegłego karnawału w stuletnią rocznicę ostatniego rozbioru, a będziecie mieli obrazek kołowaciny politycznej naszych „sfer wyższych“.

Przedsiębiorcy sezonowej opery krakowskiej zacierają ręce, bo kasa jest pełna. Telegramy na wsze strony roznoszą reklamę, tymczasem Bogiem a prawdą powiedziawszy, cała ta opera nie całkiem nawet dorasta operze lwowskiej, dla której uwielbień nasze reporterstwo nie miało. Jeden Myszuga ratuje dotąd sytuacyę. Chóry są słabe, od orkiestry wojskowej wiele wymagać nie można, bo musi się dopiero pomału przyzwyczaić i do wymagań opery zastosować. Przyjazd p. Konarskiej, primadonny opery warszawskiej, podniesie zapewne poziom sezonu operowego. Ma być to najlepsza dzisiejsza „Halka“.

Zresztą żyjemy obecnie Wiedniem, w którem oczekiwanym jest finał koalicyjnej operetki. Mówią o podaniu się ministerstwa do dymisyi — drżenie rozkoszy przejmuje naszych kandydatów na ministrów. A nuż p. Rutowski lub Szczepanowski zostanie ministrem? Będzie Polska!

K. Bartoszewicz.

KRONIKA BERLINSKA.

Berlin, d. 17 czerwca.

(Słówko o kongresie ewangelicko-społecznym. — Kwestya kobieca u różnych partyi społecznych. — Kredyt dla rolników w sejmie pruskim. — Bismarck i jego wystawa. — Antypolskie obawy Schmollera. — Literatura polska w uniwersytecie.)

Pisma codzienne doniosły już o przebiegu kongresu ewangelicko-społecznego, który jest tylko przednią strażą chrześciańską społecznej partyi robotniczej i w 1890 r. powołany został do życia przez Stöckera dla walki ze społeczną demokracyą. Tutaj więc dodać należy, że charakter obrad nie zmienił się bynajmniej w ciągu ostatnich lat pięciu, niechęć do demokracyi, która tak mało prozelitów dostarcza stronnictwu ewangielickiemu, jeszcze się zaostrzyła. Olbrzymią większością głosów przyjęto rezolucyę, że walka przeciwko błędom demokracyi społecznej stanowić ma główne zadanie stronnictwa. Po za tem bojowem przytupywaniem obrady nosiły czysto akademicki charakter i mimowolnie pozostawiły wrażenie bezsilności.

Kwestya kobieca, o której w obszernym referacie mówiła pani Gnauk, przełożona zakładu naukowego dla dziewcząt w Brunświku, stanowiła najżywotniejszy i przełomowy niemal punkt programu. Konserwatywne koła przekonały się, że kobieta dzielnie potrafi bronić praw swej płci, a jak mówił waszemu korespondentowi prof. A. Wagner, opór przeciwko wystąpieniu publicznemu kobiety wszędzie ustąpić musiał entuzyazmowi, pod wpływem którego kilku młodszych członków kongresu oświadczyło, że jest to najpiękniejszy dzień w ich życiu! To s i g n u m t e m p o r i s wskazuje jakie postępy zrobiła już kwestya kobieca w Niemczech. Wiedziano, że wśród demokracyi społecznej przemawiają kobiety, że Amerykanki i Angielki lepiej nieraz od mężczyzn upomnieć się umieją o swoje prawa, ale na pierwszych patrzało się z góry, na drugie jak na zwierzęta w klatce, wrażenie właściwe wywołało dopiero przemówienie kobiety z własnej sfery i na tym samym, co zgromadzeni stojącej gruncie. Czegoż żądała p. Gnauk?

Oto stwierdziwszy, że wiele kobiet, które spełnić nie mogły naturalnego swego przeznaczenia, pozbawione są celu w życiu, utrzymania i możności zupełnego rozwoju umysłowych sił swoich, że obie płcie choć odrębne, ale jednakowo doniosłe mają przeznaczenie, żądała obrony niezamężnej kobiety, pracującej przed wyzyskiem, a mężatki przed nadużyciem praw mężowskich. Za środek praktyczny, najlepiej do celu prowadzący, uważa swobodę tworzenia stowarzyszeń i związków wszelkiego rodzaju, a więc i politycznych.

Czytelnikom wiadomo zapewne, że w Prusach i większości państw niemieckich kobietom zabronione jest należeć do stowarzyszeń o celach politycznych. Przed paru dniami odbyły się jednocześnie dwa zgromadzenia ludowe, na których posłowie Auer i Bebel, najlepsi mówcy demokracyi społecznej, a może i w ogóle najdzielniejsi oratorowie parlamentarni rozbierali stosunek kobiet do prawa o stowarzyszeniach i polityki. Sale były przepełnione publicznością robotniczą płci obojej. Nie potrzebuję dodawać, że mowy były świetne, pono jednak większe robią wrażenie nieprzygotowane występy samych robotnic przy dyskusyi. Wszystka gorycz, która w duszy kobiecej nagromadziła się przez życie: od chwili, kiedy dziewczynką pomiatał ojciec, kiedy w służbie lub fabryce służyła za popychadło, wszelkie poniżenia i zawody, które znieść jej przyszło w stosunku z kochankiem, czy mężem, wyzysk przy pracy, podrzędne stanowisko w domu, ciężka i nieustanna praca bez promyka umysłowego życia, który rozświetla przecież szarą jednostajność życia mężkiego proletaryusza, wylewa się tu w namiętnych, gorzkich słowach, w ponurych i niekunsztownych obrazach mowy robotnicy! Opisy życia schwytanego na uczynku tak potężne czynią wrażenie, że wstrząsa ono nerwami silniej od niejednej tragedyi teatralnej. Dopełnienie owego cyklu wykładów o kwestyi kobiecej poda jutro Klara Zettkin ze Sztutgardu, najinteligentniejsza może postać kobieca wśród społecznej demokracyi niemieckiej.

W tych dniach otrzymał sejm pruski projekt „założenia instytucyi kredytowej dla poparcia osobistego kredytu związków wytwórczych“. Autorem jego jest minister Dr. Miquel, a chodzi mu o związki rolników, z tego więc względu projekt dla Księstwa nader jest ważnym. Zadaniem instytucyi będzie między innemi:

1) Udzielanie procentowego kredytu kasom pożyczkowym wiejskim dla większej własności i gminnym.

2) Przyjmowanie od tychże instytucyi wkładów, oszczędności, eskonto i sprzedaż weksli, pośrednictwo przy zakupnie papierów wartościowych i t. p.

Nowa instytucya otrzymać ma ze strony państwa pożyczkę pięciu milionów oprocentowaną na trzy od sta i jak podają motywy, istnieje dla podtrzymania stanu średniego, a więc zarówno drobnego mieszczaństwa po miastach, jak i średniej własności chłopskiej. Ma ona zapobiedz klęskom, które czynią w rolnictwie zapotrzebowanie kredytu często niezbędnem.

„Vorwärts“ twierdzi przecież, że chodzi tu więcej o wielką własność, gdyż według statystyki przeprowadzonej przez samego Miquela własność chłopska mniej jest obdłużoną, aniżeli obywatelska. W okręgach wschodnich na spłatę procentów idzie następująca część dochodu z roli: w Gumbińskim 44 proc., gdańskim 48, wrocławskim 44, lignickim 50, opolskim 48, i t. d. Wobec tak wysokiego obdłużenia hipotecznego instytucya kredytu osobistego niezmiernie być może użyteczną.

Zresztą dla rolników dobre dziś nastały czasy, skoro Bismarck tak wyraźnie podnosi prawa i wyższość tych, co posiadają własność gruntową, sam występując przedewszystkiem jako obywatel wiejski. Interesów własności ziemskiej bronił on zresztą przez całe życie, a dziś na wystawie adresów i upominków, jakie otrzymał w dniu pierwszym kwietnia, najpiękniejszym może upominkiem jest srebrna tarcz, zdobna napisami od związku rolników.

Wystawa ta, na której przejawił się wyraźnie duch niemiecko-pruski, ma ciekawe momenta. Przedewszystkiem góruje tu dąb i żelazo ponad wszelkim innym materyałem. Przydomek żelaznego kanclerza zdaje się niemnie

dogadzać jubilatowi, jak i jego wielbicielom. — Adresy, pochodzące od grup, stowarzyszeń, miast, prowincyi, okręgów, najczęściej wykonane są na białym pergaminie, oprawne w skórę, drzewo dębowe lub w bardzo zdobne i niekiedy prześliczne wykonane ramy żelazne.

Nad innemi góruje adres 72 miast saksońskich i dyplomy, przez które Halla, Regensburg, Siegen i inne mniejsze miasta mianują Bismarcka swym honorowym obywatelem. Nie brak też adresów ze stron odległych, jak od Niemców z południowej Afryki, z Austryi, ze Szwajcaryi.

Dary są to pochodzące przeważnie od pojedyńczych osób bardzo skromne. Są tu i laski i fajki, puhary, serwisy, szachy, beczki, kielichy, ale również części ubrania i roboty kobiece. Rozczulającemi byłyby te prywatne dowody uznania, gdyby było w nich trochę więcej gustu, poezyi, a nieco mniej — praktyczności. Oprócz szelek i pantofli, sprawiono, jak się zdaje, całą garderobę ulubieńcowi narodu, który się w nią wspaniałomyślnie nie ubrał, lecz przeznaczył do narodowych zbiorów. W muzeum owem każdy ze zwiedzających uwiecznić się również może, zapisując nazwisko za — 25 fenigów.

Jeżeli porównamy dary jakie ongiś otrzymał nasz Kraszewski od narodu, z tem co Niemcy ofiarowali Bismarckowi, to porównanie wypadnie pod każdym względem na korzyść naszego narodu i naszego jubilata. Uwydatni ono również różnicę oddziaływama obu mężów: idealne porywy, które pielęgnował powieściopisarz, i brutalną siłę, oraz praktyczne przymioty rozbudzone i spotęgowane przez żelaznego kanclerza.

Nie wydają się one przecież dostatecznemi do życiowej walki tym, którzy dziś na straży całości i potęgi niemieckiej stoją. Baczą oni, aby nie rozwinął się najsłabszy przejaw miękkości, aby nie wyrosła żadna groźba dla niemieckiej potęgi. W prasie, na zgromadzeniach, a nawet z profesorskiej katedry ciągle rozlegają się ostrzeżenia i nawoływania.

Trudno wierzyć, aby uniwersytecką alma mater uczyniono taką placówką bojową, a jednak jest nią wszechnica berlińska: oto dowody: niedalej jak dziś profesor Wagner dowodził, że wzięta w 1870 roku pięciomiliardowa kontrybucya była 3—4 razy za małą i że na drugi raz obficiej upuszczą krwi Francuzom, na co słuchacze odpowiedzieli grzmotem aprobaty (naturalnie „nożnej“, zwykłego dowodu zadowolenia młodzieży), ze dwa tygodnie temu zaś Schmoller, który, jak wiadomo, żąda dziś nawet 100 milionów na niemiecką kolonizacyą wschodnich polskich prowincyi, w podobny sposób rozbudzał patryotycznego ducha młodzieży i otrzymał równie ostentacyjne dowody uznania. Oto twierdził on, że na wschodzie dokonywa się nieustanny przyrost polskiego elementu, który powoli, ale stale ruguje Niemców. Jeżeli tedy rząd nie zapobieży temu przez wewnętrzną kolonizacyą, dokona się to, co w Czechach, — mianowicie niemiecka arystokracya zostanie zastąpioną lub wynarodowioną przez polską i za sto lat przyznać się nie zechce do dawnego pochodzenia swego!

Czy ten niemiecki szowinizm nie powinienby również zagrzewać polskiej młodzieży, aby stała na straży narodowych interesów, aby w ciągu lat przeznaczonych na naukę, oprócz studyów zawodowych starała się poznać i polubić to, co stanowi narodową naszą własność, jedyną własność, której nie zabierze wrogie żelazo — literaturę? Jest w uniwersytecie berlińskim profesor literatur słowiańskich, gruntowny i wysoce ceniony badacz, A. Brückner, Polak, który w każdym semestrze prowadzi wykład literatury polskiej. Ale cóż się okazuje? Dla wykładu, choć przystępny i zajmujący, wystarcza najmniejsze audytoryum, i to świeci pustkami. Czy to nie wyznanie obojętności i apatyi narodowej wobec szowinistycznej młodzieży niemieckiej? Siła pójdzie przed prawem, zwłaszcza tam, gdzie tego prawa nie bronią!

S. Z. D.

NA WYŁOMIE.

(Baju baju po zwyczaju. — Nasza krytyka artystyczna. — Wspomnienie o śp. Władysławie Mottym. — Klątwa „Kuryera“.)

W pismach poznańskich i galicyjskich roją się teraz krótkie i długie, barwne i szare, poetyczne i prozaiczne, rozumne i . . . mniej rozumne opisy wystawy naszej. Z małemi wyjątkami korespondenci odgrywają tu rolę tapicerów. Niewinna zabawka! Trochę świecidełek, trochę sztucznych zachwytów i welonów — to jeszcze najskromniejsza z wszystkich blag narodowych. A że tam w wyścigu rozmaitych panegiryzmów ktoś najfałszywsze przytoczy szczegóły, że tam pan korespondent „Kraju“, dwóch imion Wojnicz i Domarat, w prześlicznej rzeźbie Marcinkowskiego domyśli się „niebieskawego kamienia włoskiego (?!)“, lubo to odlew cynkowy, pociągnięty cienką warstwą cynkoksydu, — no! do takich omyłek i dowodów znawstwa poznańskiego przywykliśmy już od dawna. Toż przed niedawnym jeszcze czasem „Kuryer Poznański“ w opisie rzeźb tego samego artysty, umieszczonych w tumie poznańskim, podniósł z naciskiem, że figura Chrystusa wykonaną jest z jaśniejszego kamienia niż figura Piotra i przez to wyróżnia się blaskiem promiennym. Miły Boże! Jak to ci domorośli estetycy tłomaczą sobie tajemnice artyzmu! Zapewniam Kuryerowych „znawców“ (sic); że cała grupa Chrystusa wręczającego klucze Piotrowi z jednego jest wykonaną kamienia, a postać „Boga-człowieka“ jedynie przez misterny układ fałd, poniekąd może i oświetlenie, jaśniejszą się wydaje. Ten efekt spotęgowanej jasności nie jest zaletą kamienia lecz tryumfem artysty.

Gdyby jednak tylko nieznajomość technicznych tajników sztuki była znamieniem artystycznych wyroczni miasta Poznania, to nie kusiłbym się o Neptunowskie „Quos ego“ wobec kolegów po piórze, — ale co boli i co nieraz rumieńcem wstydu farbuje oblicze lokalnego patryotyzmu, to ten zupełny zanik jakiegokolwiek zmysłu piękna w szeregach recenzentów poznańskich. Jakąż ma być ta publiczność, która z trójnoga Vasarich swoich słyszy zachwyty fryzyerów i modniarek, jakże żądać od społeczeństwa miłości dla sztuki, jeżeli urzędowi krytycy jego nie mają więcej zrozumienia piękna, niż ów Rzymianin, wołający do żołnierzy eskortujących koryncki rzeźby: „Tylko ostrożnie, bo gdy potłuczecie statuy, musicie w Rzymie nowe obstalować“.

Był w Poznaniu jeden artysta i krytyk, który znał, kochał i rozumiał piękno, — ale zszedł do grobu smutny i złamany, a nad trumną jego nie wyśpiewano nawet tysiącznej części tych panegiryków, którymi dekorują często pamięć najprostszych żołnierzy „ładu i porządku“, członków wielkiego bractwa wzajemnej adoracyi, ludzi bez talentu, bez wybitniejszych zasług i poświęceń, których jedyną zaletą może był kark giętki, umysłowa nicość i korne posługi w mennicach klerykalno-lojalnych wartości. Żył smutny i umarł smutny. — Ścigany nieraz brutalnem szyderstwem pospolitych głupców, którzy tej duszy głębokiej i wrażliwej ani zrozumieć, ani ocenić nie umieli. Mówię o Władysławie Mottym. Młyn dziennikarski, który już tyle talentów zmełł na otręby, i ta poznańska atmosfera schlebiająca tylko miernotom a nienawidząca głębszych umysłów, złamały go i zniechęciły do życia, — a dźwiękom artystycznym, które z pod jego pióra płynęły, odpowiadało tylko urąganie lub lekceważenie. A przecież rozprawy i krytyki jego z dziedziny piękna były najmisterniejszym haftem na kanwach „Dziennika Poznańskiego“, prześliczną tkaniną subtelnych obserwacyi i artystycznego czucia, opromienionych jakiemś wielkiem ukochaniem sztuki.

Pamiętam raz — błądziliśmy razem po wystawie obrazów. Gdzieś w kącie spostrzegłem krajobraz alpejski — górali powracających z wyżyn śniegowych w doliny. Prześliczne płótno! — malowane śmiało, niemal ryzykownie, ale z zachowaniem zasad perspektywy i praw horyzontu mimo gwałtownych skróceń i pozornych zboczeń perspektywicznych. Zachwyceni malarskiem pojęciem i technicznem wykonaniem pejzażu i figur, mówiliśmy długo o talencie artysty i potrzebie zwrócenia uwagi publiczności na drogocenną perłę wystawy, — nagle towarzysz mój skrzywił się ironicznie:

„Zapominasz, że jesteśmy w Poznaniu, — rzekł tym bolesno-sarkastycznym tonem, który pod koniec życia był nieodstępnym towarzyszem jego. — Zakład zrobię, że jeżeli ja nie napiszę o tym obrazie, to nikt nawet nie wspomni, że wśród tej tandety — tu wskazał ręką na resztę malowideł, — jest utwór wybitnego talentu. A jeżeli napiszę, — tu głos jego stał się silny i świszczący — to nikt nie przeczyta, lub przeczytawszy powie mi, żem głupi. Tu, widzisz, podobają się oleodruki i takie malowanki słodkie, jak ta porcelanowa główka z rozmarzonemi oczyma lub ta matka ze spuchniętą twarzą i z dzieciątkiem w koszulce. Ba! ja jestem głupcem, zarozumialcem, zbrodniarzem nawet. Wolę n. p. ten pejzaż wspaniały od kopiowanej robótki panny X., choć to córka miejskiego dygnitarza. Co? miłe miasteczko!“

Machnął ręką i umilkł.

W kilka dni później przekonałem się, że Motty nie chybił ani na jotę. Ludzie zachwycali się główką porcelanową i matką z dziecięciem, a jeden z dzienników doniósł, że panna X., córka zaszczytnie znanego*i t. d., wystawiła „prześliczny klejnocik artystyczny, świadczący o wybitnym talencie autorki“. O górskim krajobrazie nikt nawet nie wspomniał.

Umarł krytyk-artysta, a jeżeli tam gdzieś na planecie jakiej przeznaczyły mu drugie istnienie moce tajemnicze, i jeżeli wicher międzyplanetarny echo słów moich zaniesie do niego, to może uśmiechnie się boleśnie i powie:

— Dziękuję ci, ale rzuć oręż i stań się braminem, pogrążonym w cichej kontemplacyi, bo tam nic nie warto!

Tak mówił zawsze, a mimo to męczył się i skonał w tej męce.

A krytyka poznańska szła dalej utartym szlakiem, — pełna frazesów bez sensu, pełna fałszywych zachwytów, pełna idyotycznych uwielbień lub potępień. Nie chcę wymieniać ani pism ani osób, ale jesteśmy codziennie nieomal świadkami takich dziwolągów nietylko na polu sztuki lecz i w dziedzinie literatury, że już nie gniew, nie zapał polemiczny, lecz żal głęboki się budzi nad tą poznańską Boecyą. Poezye o „szumiących wiaterkach“, drukowane w jednym z dzienników, powieści o przeróżnych „aniołkach“, krytyki o „perłowych ząbkach“ artystek, uznania dla autorów dramatycznych za to, że „nie we fraku, lecz w demokratycznym tużurku“ stanęli przed rampą, posłuszni wołaniom publiczności, zachwyty nad historycznem malarstwem Böcklinów (!) — to codzienna strawa, którémi prasa karmi publiczność poznańską. A biada temu, kto w ten rój os rękę swoją włoży.

Przekonany jestem, że „Kuryer“, przeczytawszy słowa powyższe, napisze dla nas powtórnie „zaproszenie do przedpłaty“, wołając głosem namaszczonym, że „uczciwe domy wielkopolskie nie otworzą drzwi swoich dla „Przeglądu““. Kuryer i uczciwość! To pismo, o którem dzisiaj podobnie jak o „Roli“ warszawskiej mówi się: „Z przeproszeniem Kuryer Poznański“, śmie od uczciwości odsądzać abonentów naszych, — to pismo, które z dnia na dzień pod względem redakcyjnym i zasadniczym spada coraz niżej, śmie innych uczyć etyki! Niech zgrzyta! Z poza klątwy rzuconej wychyla skrzywione oblicze strach przed szermierzami „Przeglądu“. Jego przestroga to najlepsza dla nas rekomendacya — to 300 nowych abonentów.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Podatki na wojsko a lud polski. Kilka słów przestrogi i napomnienia dla wszystkich Polaków skreślił K. R. Poznań 1895 r.

W maleńkiej tej, bo obejmującej zaledwie 32 stronnic, broszurce, rozwija autor w sposób żywy i treściwy myśl powszechnego rozbrojenia i ligi pokojowej, wykazując przytem fatalne skutki, jakie militaryzm europejski dla wszystkich ludów a w szczególności dla ludu polskiego pociągnąć musi.

Książeczkę cechuje zapał serdeczny dla idei reformacyjnéj, którą dziś zajmuje się coraz żywiej Europa, a która w naszych dzielnicach mało dotychczas znalazła apostołów.

* * *

Zdania Oskara Wildego*). „Kobiety są sfinksami wolnemi od wszelkich tajemnic“.

„Wierni w miłości znają tylko jej komedyę, niewierni poznają tragedyę miłości“.

„Mężczyźni żenią się w skutek zmęczenia, kobiety w skutek ciekawości — jednych i drugich zawsze zawód spotyka“.

„W całym Londynie jest zaledwie pięć kobiet, o których byłoby warto mowić, ale cóż, kiedy dwie z tej liczby nie mogą być przyjmowane w przyzwoitych towarzystwach“.

Mężczyzna popełniając najkapitalniejsze głupstwo, czyni je ze szlachetnych popędów“.

„Kobieta, pragnąca zmienić usposobienie męża, posiada jedną tylko drogę: znudzić go tak gruntownie, aby stracił całą chęć do życia“.

„Żadnego mężczyzny nic tak nie wbija w zarozumiałość, jak twierdzenie, iż jest grzesznikiem“.

„Jedyny jest środek, aby uwolnić się od pokusy: uledz jej“.

„Tylko przeciętne kobiety są zazdrosne o swoich mężów; piękne nigdy, bo nie mają czasu na to, tak zajęte są zazdrością o cudzych mężów“.

„Nic tak źle nie wpływa na harmonię w miłości, jak cokolwiek humoru ze strony kobiety, a zupełny jego brak w mężczyźnie“.

„Mężczyzna pragnie być zawsze pierwszą miłością kobiety; kobieta nie jest tak wymagającą, ona pragnie być ostatnią“.

„Pomiędzy świętymi i grzesznikami jest ta tylko różnica, że pierwsi mają przeszłość, a drudzy przyszłość“.

„Kobiety zwą się wtedy „siostrami“, gdy posiadły już wszystkie możliwe tytuły“.

* * *

Aleksander Dumas wydał w tych dniach drugi tom dzieła swego pt. „Théâtre des autres“ (teatr innych). Jestto zbiór sztuk, które pisał wespół z różnymi współpracownikami i zazwyczaj pod mniej lub więcej przezroczystym pseudonimem. Wbrew zwyczajowi swemu Dumas zaniechał tym razem przedmowy, z czego tłómaczy się w kilku wierszach wstępnych, że „mówił już o innych dosyć, a o sobie wiele za dużo“.

* * *

Jubileusz Aleksandra Świętochowskiego. W roku bieżącym upływa 25 lat działalności pisarskiej dr. fil. Aleksandra Świętochowskiego. W gronie przyjaciół jego i towarzyszów pracy powstała myśl upamiętnienia tej rocznicy odpowiednim wydawnictwem i fundacyą jego imienia. Postanowiono mianowicie wydać książkę zbiorową, zawierającą rys działalności filozoficznej i literackiej jubilata, opinie krytyków zagranicznych o jego twórczości i kilka większych rozpraw treści rozmaitej; fundacyę stanowić ma stypendyum, którego przeznaczenie i warunki określi sam jubilat. Celem wprowadzenia w życie tego projektu przedsiębrane są odpowiednie u właściwej władzy starania. Redakcyą książki jubileuszowej zajmują się pp. Antoni Gustaw Bem, Piotr Chmielowski, Jan Karłowicz, Stanisław Krzemiński i inni.

Postępowe żywioły poznańskie i galicyjskie powinny szerszy wziąć udział w jubileuszu człowieka potężnego talentu, człowieka, który wytrwał na posterunku dzielnego szermierza wolnej myśli przeciw coraz to bardziej szerzącym się prądom reakcyjnym.

* * *

Znakomicie redagowany dwutygodnik krakowski „Świat“ przestaje wychodzić po 8 latach istnienia.

* * *

Nr. 12 lwowskiego tygodnika „Monitor“ wyszedł i zawiera:

O opinii publicznej. — Przed generalnym referatem. — Ruscy radykali wobec wyborów. — Listy z kraju. — Harmonia wieku (wiersz). — Niższość kobiety. — Chmielowski o Rossowskim. — Fejleton: „Z szarych końców“ przez Lucyana ze Swirza.

* * *

Przekłady. Znana tłómaczka powieści polskich na język niemiecki, p. Laura Brix, która przyswoiła literaturze niemieckiej powieści Orzeszkowej „Eli Makower“ i „Meir Ezofowicz“, bawiła w tych dniach w Krakowie i uzyskała od p. Sewera pozwolenie na przetłomaczenie najnowszej jego powieści „Biedronie“. Taż sama tłomaczka przystąpi również niebawem do przekładu powieści „Nafta“, oraz nowel „Wiosna“ i „Konkurs“. Równocześnie czeska „Politik“ zamieściła bardzo ładny przekład znanej noweli Sewera: „Jedna noc w Londynie“.

* * *

Romans mistyczny. W najświeższym czasie zjednała sobie rozgłos nieposspolity książka J. K. Huysmans'a p. t. „En route“. Autor jest wielkim artystą pod względem stylu i obrazowania, lecz w utworach jego odczuwa się brak szczerości. Tłuściutki, różowy, zamiłowany w dostatkach p. Huysmans, który w życiu codziennem jest systematycznie chodzącym do biura urzędnikiem o wesołem usposobieniu, przemienia się w pesymistę lub mistyka siadłszy z piórem autorskiem w ręku i pisze wtedy zawile i tajemnicze dzieje dusz ludzkich, odsłania przed czytelnikami okropności zażegnywań, uroków, czarów, przepaściste głębie i zaułki rzeczy nadprzyrodzonych. O książce jego ostatniej, która jest niby „Drogą ku niebu“, Lucyan Descave tak się wyraża: „Przeczytałem „En route“ i porównać mogę treść oraz styl tego utworu do mistycznego, schorzałego kwiatu, który został ścięty i dogorywa w pysznej piękności wazonie. Wazon ten jest arcydziełem sztuki snycerskiej i na nim się skupia cała uwaga, pomijając kwiat, który się z niego wychyla“. Zaś Clemenceau tak mówi o prądzie mistyczno-erotycznym, który chorobliwie odzywa się w sztuce i literaturze chwili obecnej: „Zwolennikami mistycyzmu są przeważnie ludzie niedomagający umysłowo lub też rozpróżniaczeni, którzy wytworzyli metodę w tym kierunku. Minie to, bo rzeczy zamarłe nie wracają do życia i łudzić mogą tylko zdaleka łachmanami swego całunu“.

KRONIKA POWSZECHNA.

* **Wiadomości społeczne i polityczne** Komisya budżetowa austryackiej izby deputowanych przyjęła pozycyę gimnazyum w Cylei Wskutek tego podał się książę Windischgraetz wraz z całym gabinetem do dymisyi. — Związek kupiecki w Lubece przyjął wniosek izby handlowej, potępiający wszelkie starania o zaprowadzenie podwójnej waluty. — Uroczystości otwarcia kanału bałtyckiego nie zmącił dotychczas żaden rozdźwięk polityczny. Mowa cesarska była apoteozą idei europejskiego pokoju. — W Lipsku skończył się nareszcie strejk mularzy. Sąd polubowny zawyrokował, że przedsiębiorcy mają płacić za godzinę pracy do końca września 42 fen., od października do końca marca 43 fen., od 1 kwietnia roku przyszłego 45 fen. Robotnicy odbyli wielkie zebranie, na którem zgodzili się na wyrok sądu polubowego. — Eksport cukru z Niemiec za granicę powiększył się znacznie w ostatnich czasach. W maju r. b. wywieziono 1,229,575 podwójnych centnarów, podczas gdy w maju roku zeszłego eksport tego artykułu wynosił tylko 516,554 podwójnych centnarów, a więc o połowę mniej.

* **Teatr i muzyka**. Gabryela Zapolska zamierza wystąpić w Warszawie w „Madame sans Gêne“. Donoszą również, że jeden z teatrów warszawskich wystawi „Kaśkę Karyatydę“ Zapolskiej, przerobioną odpowiednio na utwór sceniczny. Dobrze byłoby, gdyby dyrekcya poznańska postarała się o zaangażowanie utalentowanej artystki na kilka gościnnych występów z początkiem zimowego sezonu. — Trupa poznańska, podróżująca po prowincyi, ma podobno zamiar udać się na 4 tygodnie do Kalisza. — Modrzejewska wystąpiła po raz pierwszy na scenie lwowskiej w roli „Księżny Jeżowej“. — Między „Kuryerem Lwowskim“ a „Gazetą Narodową“ toczy się ciekawa polemika w sprawie budowy nowego teatru we Lwowie. Pierwszy wywodzi z zupełną słusznością i obfitym zasobem przekonywających argumentów, że konkurs na budowę monumentalnego gmachu powinien mieć charakter narodowy, czyli uwzględniać tylko polskich architektów. Druga natomiast broni zawzięcie konkursu kosmopolitycznego. — Przedstawienie „Balladyny“ w Paryżu (przekład Gasztowta, układ Martiala Teneo) wywarło niezbyt korzystne wrażenie na Francuzów. Większość krytyki z Katulem Mendesem na czele dopatruje się w dziele Słowackiego jedynie chaotycznego naśladownictwa Szekspira, zastrzegając się z góry, że specyalnych cech narodowych nie rozumie; nieliczni, jak „Echo de Paris“, jak Felicyan Pascal w „Libre Parole“ oceniają — niedostatecznie, lecz o ile ich stać na to — poetycką wartość dzieła.

* **Sztuka**. W pracowni panny Maryi Kremer oglądaliśmy akwarelę dość wielkich rozmiarów, przedstawiającą lilie. Obraz ten, posiadający niezwykłe zalety artystyczne, przeznaczony jest na wystawę poznańską. W swoim czasie poświęcimy mu zatem obszerniejszą wzmiankę, — dziś jednak już nadmieniamy, że jest to utwór pierwszorzędnej wartości i potwierdza ustaloną opinię, że kwiaty artystki poznańskiej należą do najwybitniejszych utworów tego zakresu.

* **Wyższe wykształcenie kobiet i małżeństwo**. W czasopiśmie angielskiem „Nineteenth Century“ rozbiera pani J. E. H. Gordon zajmującą kwestję, czy kobiety z wyższem wykształceniem wychodzą zamąż, i wykazuje, iż większość ich nie szuka dozgonnego towarzysza życia. Z panien, które kończą studya w Girton Gollege w Cambridge wstępuje w związki małżeńskie jedna na dziesięć. Najmniejszego kontyngensu mężatek dostarczają kobiety, które studyowały języki średniowieczne i nowożytne. W Sommerville-College w Oksfordzie dzieje się tak samo. Większość kobiet, która je kończy, zostaje nauczycielkami. Od r. 1871 skończyło Newnham College kobiet 720; z tych 374 jest teraz nauczycielkami lub lektorkami; 20 wywędrowało do Ameryki lub kolonii; dwie zostały lekarkami, dwie misyonarkami, jedna ogrodniczką, jedna introligatorką, dwie mają posady w towarzystwach dobroczynnych, a reszta miejsca sekretarek. Z 85 kobiet, które skończyły studya matematyczne w Newnham, 5 tylko wyszło dotąd zamąż, z 65, które skończyły studya klasyczne — 8, z 33 studentek filozofii — 6, z 64 przyrodniczek — 10, z 64 historyczek — 9, a z 38 kobiet, które studyowały języki średniowieczne i nowożytne tylko jedna wstąpiła w związki małżeńskie.

Zmarli:

* **Manuel Ruiz Zorilla**, autor broszury „Trzy przeczenia i jedno twierdzenie“, skierowanej przeciw neokatolikom, były minister robót publicznych w Hiszpanii, prezes kortezów, deputowany Madrytu, gorący stronnik partyi republikańskiej, — zm. przed kilku dniami jako wygnaniec na francuskiej ziemi.

BIBLIOGRAFIA.

Zygmunt Korosteński. Potrzeba związków naszych towarzystw przemysłowych i handlowych oraz wyższej organizacyi stowarzyszeń naszych w ogóle. Lwów, 1895.

Szczęsna. Złote myśli Adama Mickiewicza. Kraków, 1895. Wydanie drugie

Wacław Berent. Fachowiec. Powieść. Warszawa, 1895.

Kazimierz Gliński. Budowniczy szczęścia. Powieść Warszawa, 1895.

Odpowiedzi Redakcyi.

Fl. K. Prosimy o cierpliwość. Artykuł zamieścimy niebawem, — zastrzegamy sobie jednak pewne skrócenia.

M. Premii dotychczas „Przegląd“ nikomu nie udzielał Dzieło Falkenberga można nabyć za pośrednictwem naszej redakcyi, — charakteru premii jednak dzieło to nie posiada

Mieczysław. Utworów nadesłanych zamieścić nie możemy. Życzeniu Pańskiemu, aby „wskazać dokładnie błędy i zalety poezyi w razie odrzucenia“ uczynimy zadość listownie, jeżeli Szanowny Pan raczy odsłonić anonim.

O. O. W pogłoskach tych nie ma ani słowa prawdy. Są to próbki zakulisowej roboty naszych przeciwników politycznych, którym „Przegląd“ staje się z dnia na dzień niewygodniejszym. Te żywioły, z któremi walczymy, posługują się wszędzie równą bronią, — fałszem, podstępem, kalumnią, — a napaści ich stają się tem zuchwalsze, im skuteczniej i energiczniej znienawidzeni przeciwnicy spełniają zadanie swoje. Proces ten powtarza się wszędzie z małemi zmianami, ilekroć myśl postępowa i narodowo-demokratyczna rzuci rękawicę reakcyi i kłamstwu „trzech lojalności“.

Za słowa uznania dziękujemy serdecznie.

*) Znany z skandalicznego procesu dramaturg angielski. Przyp. Red

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.